



ANTOLOGIA

 **piszmy**

Tytuł: Piszmy. Antologia

Wydawca: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

© Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

ISBN: 978-83-89285-11-9

Koordynator projektu: Jan Piasecki-Hlousek

Redakcja: Daniel Odija

Korekta: Przemysław Kaniecki

Projekt graficzny i skład: Joanna Michniewska

Gdańsk 2018



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JOSEPHA CONRADA
KORZENIOWSKIEGO
W GDAŃSKU



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
POMORSKIEGO



GDANSK
miasto wolności

*Chodź
do Biblioteki!*

SPIS TREŚCI

- 4 DANIEL ODIJA
- 6 MONIKA BRONICKA
Łowy
- 10 RUDOLF DETTLAFF
Kosmiczne SOS!
- 26 MAŁGORZATA FOJCIK
Będzie lepiej
- 30 AGNIESZKA GORLAK
Pamiętasz mnie?
- 35 KAROLINA JAWORSKA
Kocie
- 47 DAMIAN KURNIOWICZ
Przez serce do żółtka
- 53 MICHAŁ NAUMOWICZ
Sąsiedzi
- 61 MARIA PEPLIŃSKA
Wiśielec
- 74 JULIA PERLIKOWSKA
Tylko nikomu o tym nie mów
– teza o umieraniu,
samotności i podłości
- 84 HANNA PIWOWARSKA
Tylko na chwilę...
- 89 ANNA ALEKSANDRA SCHMIDT
Za dużo nieba
- 97 MATEUSZ TUKALSKI
Pęknięcie
- 108 MAGDALENA TYTYK
Jak za pierwszym razem
- 111 O WARSZTATACH

DANIEL ODIJA

Antologia, którą będziecie mieli okazję przeczytać, to efekt kilkumiesięcznych warsztatów literackich, jakie miałem zaszczyt prowadzić w Bibliotece pod Żółwiem. Jestem przekonany, że tej atmosfery, ludzi i miejsca nie zatrze w mojej pamięci bezduszny upływ czasu. Zostaną we mnie na zawsze.

Podczas cyklicznych zajęć w kilkunastoosobowej grupie wykonywaliśmy ćwiczenia, które w pewnym stopniu wpłynęły na poprawę warsztatu naszego pisania i uporządkowały przyszłe plany pisarskie. Ale najważniejsze, co chcieliśmy osiągnąć, to twórczy kopniak, który miał nas rozpędzić do zapisywania swoich słów, zdań, opowieści. Myślę, że się udało. Wzajemnie się inspirowaliśmy. Korzystaliśmy ze swoich doświadczeń życiowych. Uczyliśmy się różnych spojrzeń na jedną i tę samą sprawę. Wspaniała przygoda intelektualna! No i praktyczna nauka.

Bo ci, którzy mieli pewne wątpliwości, ukierunkowali mgliście pomyślane fabuły na drogę, którą być może będą podążać nadal. Wykryształizowali sposób ich zapisu. Niektórzy obudzili się ponownie do pisania po kilkuletnim śnie zimowym. Inni zyskali dyscyplinę, która podpowiada, że w codziennej systematyczności tkwi klucz do sukcesu, jakim jest ukończenie rozpoczętego projektu. I śmiem twierdzić, że każdy z uczestników warsztatów dodatkowo wyczulił się na obserwację otoczenia i siebie samego.

W dodatku coś mi się zdaje, że nikt, kto przyjeżdżał na nasze zajęcia, nie uznał czasu im poświęconego za stracony. To już naprawdę wiele. Bo czas

naszego życia bezustannie się kurczy. A literatura ten czas w nieskończoność rozciąga tak, że zyskujemy wiarę w nasze nieprzemijanie. Nawet jeśli to wiara płonna, piękne to złudzenie.

Literatura może stać się pasją życia, jego oddechem i myślami. Nie zawsze jednak zdarzają się spotkania, podczas których można o swojej pasji swobodnie rozmawiać. A taką okazję stworzyli nam ludzie z Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Za co im, w imieniu całej naszej „warsztatowej” grupy, serdecznie dziękuję.

Łowy

Agnes wędrowała już od dwudziestu minut. Im wyżej się wspiniała, tym powietrze było coraz cięższe. Częściej popijała wodę, której ilość nieustannie malała w litrowej menażce. Wczoraj ta sama trasa wydawała jej się mniej uciążliwa. John, który podpłynął do nich zaraz po zakotwiczeniu, opowiadał o pięknych widokach z wulkanicznego szczytu. Od początku nie lubiła tego tubylca. Zdawał się zbyt nachalny. Mąż natomiast nie podzielał jej opinii i cały wieczór spędził z Johnem na rufie jachtu, żując betel i popijając rumem, którego zapasy kurczyły się każdego dnia. Dlatego nie była zdziwiona, gdy rano oświadczył, że umówił się z Johnem na lądową wycieczkę. Wyruszyła z nimi, mając nadzieję, że wspólnie spędzony czas rozpędzi złe przeczucia.

Trasa była rzeczywiście malownicza. Płytkim jarem wędrowali w górę, wspinając się co jakiś czas na porozrzucane przez odległy wybuch wulkanu wielkie głazy. Głazy usłane przez naturę jakby celowo, w najlepszych miejscach widokowych. Nieprzesłonięte drzewami, odkrywały panoramę na zatokę, wąskie przejście między rafami, kolejną zatokę i następne wyspy. W oddali, ponad chmurami wystawał szczyt najwyższej w rejonie góry Kolombangara. Góry zawieszona w powietrzu, bo z tej odległości podstawa, zajmująca całutką wyspę o tej samej nazwie, schowana była za horyzontem. John nie podzielał ich radosnego nastroju. Im więcej robili przystanków na fotografowanie i podziwianie otoczenia, tym bardziej zdawał się nerwowy. W pewnej chwili Agnes odniosła wrażenie, że za nimi, między drzewami, przemyka inny

tubylec, ale później nie mogła go już dostrzec. John z mężem zupełnie pochłonięci rozmową wspinali się przed nią. Wzrok Agnes nieustannie zatrzymywał się na wysokości długiej maczety, poruszającej się w rytmie ruchów bioder Johna. Zamarta, kiedy szybkim ruchem wyciągnął ją z pochwy i przeszył powietrze. Kolejnym ruchem odciął gałęzie zasłaniające przejście. Wypuściła nagromadzone w płucach powietrze. Zazdrościła mężowi jego wyluzowania i spokoju. Ona w każdym drgnięciu liści, w każdym dziwnym dźwięku czy zamglonym spojrzeniu doszukiwała się niebezpieczeństwa. Ale widok ze szczytu zrekompensował jej wszystkie lęki. Stali na krawędzi. Z jednej strony zbocze góry, z drugiej krater wygasłego wulkanu. Wokół nieograniczony widok na błękit. Niebo połączone z morzem.

Tym razem wieczór spędzili we dwoje. Popijając wino, celebrowali chwile, ciesząc się, że mogą być razem w tej podróży. Rano odczytała pozostawioną kartkę, że poszedł z Johnem na polowanie. Zamierzała wykorzystać ten czas dla siebie i zanurzyła się z książką w hamaku na zacienionej rufie. Dopiero kiedy zegar wskazał czternastą, zaczęła się denerwować i postanowiła podążyć śladami męża.

W tej części wzgórza busz był niezwykle gęsty. Tak gęsty, że dźwięki wydawane przez niezliczone ptactwo i owady nie miały jak przebić się na wolne powietrze. Już nie była pewna, czy w uszach brzęczy jej gwizdanie kakadu, granie cykad czy dźwięk własnego lęku, którego nie potrafiła stłumić. Serce zdawało się tomotać równie głośno, jak te stworzenia. Żałowała całej tej wyprawy. Tego, że dała się namówić na rejs, a następnie że pozwoliła mu pójść z nieznanym tubylcem na łowy. Jak zwykle nie zaprotestowała. Nie chciała albo raczej była pewna, że i tak nic nie osiągnie. A teraz strach paraliżował jej ruchy. Strach i złość. Złość na niego, że naraża ją i siebie na niebezpieczeństwo.

Nagle dźwięki ustały. Zapadła cisza. Wyszła na polanę. Ucieszyła się. Niedopalone ognisko oznaczało, że są niedaleko i pewnie niedługo ich dogoni.

Posilili się i poszli dalej. Porozrzucane kości świadczyły o tym, że zatrzymali się na dłuższą chwilę i że polowanie było udane. Też usiadła. W plecaku miała kanapkę. Jedząc, zastanawiała się nad drogą.

Dalsza część wzgórza wydawała się łagodniejsza. Większość powierzchni pokrywały gęste zarośla, ale obok, pewnie wzdłuż szlaku spływającej w porze deszczowej wody, porastały pandany. Długie soczyste liście pochylały się ku ziemi, a stworzony przez nie szpaler wskazywał ścieżkę. Postanowiła tą trasą kontynuować wędrówkę.

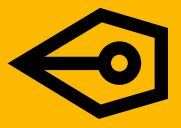
Opuszczając polanę, Agnes zauważyła w trawie coś pomarańczowego. Prawie to minęła, ale zatrzymało ją skojarzenie ze znanym przedmiotem. Z ziemi podniosła bransoletkę. Kawalek żeglarskiej linki, którą mąż nosi na ręku. Drażnił ją kolor, ale mimo że czasem wyśmiewała jego biżuterię, lubiła ten marynarski dodatek. Nie mógł jej zdjąć, bo była idealnie dopasowana. Sama mu ją zaplotła na nadgarstku i końcówki stopiła. Bransoletka w jej ręku była cała, nierozzerwana, nieprzecięta, nierozpleciona, więc nie mógł jej zgubić. Coś się nie zgadzało. Jak ją zdjął? W jaki sposób ją zgubił? Myśli eksplodowały jej w głowie. Serce znów zaczęło łomotać, mimo że nie wykonała żadnego ruchu. Pot, który spływał po plecach, nie był już tylko efektem upału. Wróciła do ogniska.

– Oddychaj spokojnie – powtarzała w myślach jak mantrę. – To nie dzieje się naprawdę.

Znała kości kurze, kości świni i krowy. Te były jakieś inne. Bardziej wyciągnięte. Bardziej przypominające eksponaty z lekcji anatomii na sportowej uczelni.

Starła się odsunąć od siebie wszystkie napływające obawy. Wciąż odrzucała to, co nieuchronnie stawało się prawdą. Uwierzenie oznaczało koniec...

Rozpoczęła sprinterski bieg w dół. Już nie przeszkadzały jej gałęzie raniące nagie ramiona. Nic nie słyszała. Świat zamarł wokół niej. Była sama. Najbliższa cywilizacja to wybrzeże Australii. Odległe o osiem dób żeglugi. Dopiero tam zadziała telefon, dopiero tam będzie mogła z kimkolwiek porozmawiać. Teraz musiała ratować swoje życie. Zrobić to, czego nigdy nie robiła: samodzielnie nawigować na wodach naszpikowanych rafami koralowymi i wyprowadzić łódź na bezpieczne morze. Zepchnęła ponton na wodę i nieustannie oglądając się za siebie, popłynęła do jachtu, który w tej chwili stał się jedynym ratunkiem.



RUDOLF DETTLAFF

Kosmiczne SOS!

Właśnie wybił nam rok milionowy. Ciśniemy się na świecie jak sardynki. Sprawę utrudnia fakt, że po tak długim czasie układ kontynentów nie jest już taki sam. Australia przesuwała się w górę i połączyła się z Azją, podobnie obie Ameryki przygłnęły do Azji. Poziom oceanów podniósł się przez topniejące lodowce, woda zalała część lądów, powodując, że mamy ich jeszcze mniej. Przynajmniej tak było jeszcze paręset tysięcy lat temu, gdy miałem dostęp do mediów i informacji. Teraz już tylko stoję w tłumie ludzi, nie mam nawet możliwości podrapania się po głowie – taki ścisk. Nie wiem, jak ten świat może teraz wyglądać. Tak, tak, dobrze kojarzycie, mam prawie milion lat. Nie tylko ja tyle mam. Wszyscy tu naokoło tyle mają. Chociaż przestaliśmy gadać ze sobą, bo już nie ma o czym, to znam tych ludzi, i to za długo. To Olek, tam jest Weronika, a ten tam to Mirek, Mirek, przywitaj się. Ta majacząca to Adela, ma wiecznego tripa. Wszyscy tu są nieśmiertelni. Chociaż nie wszyscy. Ja do końca nie jestem. Choć dziwnie to zabrzmiało, to w połowie jestem nieśmiertelny, a w połowie nie żyję. Nie, nie. Nie jak z tym kotem. To bardziej popieprzone. Może po prostu opowiem, bo cała ta kuriozalna sytuacja zaczęła się od mojej bójki w sklepie rybnym.

– Dzień dobry, suszoną makrelę poproszę – poprosiłbym ekspedienta najgrzeczniej, jak umiałem.

– Nie ma – odpowiedział najniegrzeczniej, jak umiał.

– No dobrze, to w takim razie filet z flądry.

– Nie ma.

- Yhym, a co jest? – zapytałem, licząc, że tak będzie szybciej.
- Ryby – wypowiedział z dumą ekspedient.
- To w końcu sklep rybny. Ale chciałem się dowiedzieć, jakie ryby?
- Wodne.

– Z tego, co wiem, makrela i flądra nie są lądowymi rybami, a mimo to ich nie ma.

– Ale pan chciał suszoną makrelę i filet z flądry, coś takiego nie pływa w wodzie – zauważył.

– Dobrze, już rozumiem. Poproszę flądre.

– Nie ma.

Moja pięść wylądowała na jego nosie, moment później drugi raz i trzeci. On nie był mi dłużny. Przeskoczyłem przez ladę i zaczęliśmy okładać się, czym się da. Ekspedient podniósł wielki filet i trzasnął mnie nim w twarz, tak że resztki zostały mi na brodzie. Zaciumkałem i krzyknąłem:

– Ej, to przecież flądra!

– O, najwidoczniej jeszcze jedna była.

Trzasnął mnie drugi raz. Zdenerwował mnie tym nie na żarty. Nie dość, że miał flądre, to jeszcze teraz mnie nią bił. Wyrwałem mu filet i zacząłem wypychać mu go do gardła. Ekspedient, przyparty do ziemi, złapał się najbrudniejszej rzeczy, jaką można zrobić. Chwycił za garść anchois i wsadził mi do nosa, po rybie na każdą dziurkę. Odskokczyłem i wysmarkałem anchois. Złapałem za bemaar wypelniony lodem i tososiem, które zaraz wylądowały na głowie ekspedienta.

– I przegiąłeś – powiedział, kucnął przy szafce i zaczął w niej czegoś szukać. – Mam – krzyknął.

Wyjął puszkę sardynek w zalewie. Otwieraczem rachuciachu i cała zawartość sphywała po mnie. Tłuklibyśmy się tak do wyczerpania zasobów, ale dziesięć minut później przyjechała policja. Piętnaście minut później siedziałem już skuty kajdankami w radiowozie. Pół godziny później byłem na komisariacie, składając zeznania. Przez okno widziałem, jak policjanci wietrzą radiowóz. Ominę ten fragment, gdzie policjanci mnie torturują, żeby dowiedzieć się, dla kogo pracuję, a także ten, gdzie zostają skazani przez sąd na prace społeczne.

Zdecydowano, że odbędę karę, pomagając w domu spokojnej starości. Domu starców o nazwie „Karmazynowy ogródek”. Że już wtedy nie zapaliła mi się lampka. Szklanymi drzwiami wszedłem do środka. Przedemną była recepcja.

– Dzień dobry, pan ten od ryb, tak? – zapytała mnie recepcjonistka.

– Tak, chyba tak – niepewnie odpowiedziałem.

– Wie pan co, w tym tygodniu zamówimy dwadzieścia filetów z halibuta i karton, albo nie, dwa kartony paprykarza. – Uniosłem brew w zdziwieniu, co było jasnym sygnałem dla mojej rozmówczynie. – Pan nie jest dostawcą?

– Nie, mam tu pracować przez najbliższy tydzień.

– Aaa, przepraszam, zmylił mnie ten zapach. Trochę się zdziwiłam, że dostawa w środę, jak zawsze była w poniedziałek. No dobrze, to zapraszam za mną. Pokażę panu, co i jak.

Pani recepcjonistka, która, jak się później dowiedziałem, nazywała się Karolina, pokazała mi wszystkie ważne dla mnie miejsca. Tu są szczotki, a tam ręczniki papierowe, nowe prześcieradła itd. Na koniec wycieczki zabrała mnie do moich podopiecznych. Dwa pokoje w rogu korytarza, to nimi miałem się zajmować przez okres swojej pracy tu.

– Najpierw pierwszy pokój. Pan Marian jest, hmm, dość specyficzny. Proszę nie brać na poważnie tego, co mówi. On przeżył wojnę – ostrzegła mnie Karolina. – Jakby przeholował, proszę się powoływać na panią Olgę.

Drzwi miał zawsze zamknięte na klucz, żeby nikt go nie zaskoczył. Trzeba było zapukać, dopiero wtedy pozwalał otworzyć drzwi, inaczej wpadał w szal, a podobno „nie chciałbym tego przeżyć”. Karolina wyjęła klucz i otworzyła. Pokój był mały i jego większą część zajmowało łóżko, na którym leżał on – Marian. Sto dwadzieścia kilo skurwysyna. Leżał, a mięśnie jego twarzy układały się w napis „cynizm i skurwysyństwo”, musiał być działaczem partyjnym. Nie ma opcji, żeby nie. Poza łóżkiem w pokoju był jeszcze mały stolik nocny, krzesło i szafa na ubrania. Z roślinności – stojący na oknie kaktus, metafora właściciela.

– Podaj mi szklanę – wymamrotał, wyciągając rękę w stronę Karoliny. Ta podała mu szklanę z sokiem wiśniowym, którą Marian upuścił.

– Nic się nie stało, zaraz to wytrzymy – powiedziała Karolina, która zaczęła zbierać szkło i wycierać ręcznikiem papierowym sok.

To była próbka, Marian chciał pokazać, z kim będę miał do czynienia. W trakcie zbierania przez Karolinę szkła, Marian uśmiechnął się do mnie, jakby chciał powiedzieć: „witaj w świecie, w którym to ja dyktuję zasady”. Gdy wychodziliśmy, Marian odprowadzał nas wzrokiem.

– A to druga pana podopieczna, pani Adela. Pani Adela jest samotna i gdy tylko ma okazję, to lubi się wygadać, proszę uzbroić się w cierpliwość.

Pokój był taki sam, z wyjątkiem dwóch plakatów wiszących na ścianie. Jeden przedstawiał Hendrixa palącego gitarę, a drugi portretowe zdjęcie Morrisona. Super, trafiłem na żołnierza i hipiskę, co to, są lata sześćdziesiąte?!

– Pan to musi być tym nowym opiekunem, bardzo mi miło. Nie wiedziałam, że takich przystojniaków mi będą przysyłać na stare lata – ewidentnie flirciarskim głosem przywitała mnie starowinka siedząca ze skrzyżowanymi nogami na krześle. Między palcami dłoni trzymała nieodpalonego papierosa. Nie wiem czemu, ale się podnieciłem. Później próbowałem to wyprzeć, ale w tamtym momencie, w momencie wypowiedzania przez nią tych słów, czułem twardnienie w spodniach. To było dziwne, ale chciałem tam być i gdy Karolina zaproponowała, żebyśmy wyszli, ja nienaturalnie zaprotestowałem.

– To znaczy, chciałem tylko obejrzeć ten plakat – udałem, że interesuję się muzykami.

– Śmierć mi ich zabrała przedwcześnie – powiedziała pani Adela. – Nie ma już takich chłopców. Chociaż – popatrzyła na mnie – kiedyś już widziałam śmierć – wyszeptła, a ja to zignorowałem.

Wyszliśmy z Karoliną na korytarz.

– I jak? – zapytała o wrażenia.

– E, miałem do czynienia z trudniejszymi typami – dopiero gdy wypowiedziałem te słowa, usłyszałem, jak maczystowsko brzmią.

Karolina poprosiła mnie, żebym ogarnął strych, miał mi pomóc pan Zenon, człowiek od wszystkiego w tym przybytku. Był tam od zawsze, miałem wrażenie, że sam powinien się tam położyć, a nie pracować.

– Wie pan – zaczął Zenon – że dziś kipnęła pani Krystyna, świec Boże nad jej duszą.

– To smutne – odpowiedziałem, bo nigdy nie wiem, co powiedzieć na czyjaś śmierć.

Zawsze lepiej nic nie powiedzieć, niż chlapnąć jakąś gafę. Pan Zenon wzruszył tylko ramionami. Zabraliśmy się za przerzucanie jakichś kartonów. Segregowaliśmy pudła, to-do-wywalenia i to-zostaw. W końcu blat stołu, na którym stały pudła, był prawie pusty. Z ciekawości zajrzałem do szuflady stołu. Było tam pełno drobnych pierdół, breloczki, długopisy i klucz. Chwyciłem klucz i pokazałem go Zenonowi.

– Łee, to starość, jeszcze z poprzednich zamków, przed wymianą. Jeden z tych uniwersalnych dla personelu. Pewnie nie działa, weź to wywal – i machnął ręką.

– Ok – oczywiście nie wyrzuciłem go, tylko schowałem do kieszeni, musiałem sprawdzić, czy działa. Na dole sprawdziłem. Działał. Nie wiem, czemu, ale w pierwszym momencie pomyślałem, żeby włamać się w nocy do pani Adeli, ale później znowu starałem się to wyprzeć ze świadomości.

Na drugi dzień miałem zająć się moimi podopiecznymi. Najpierw kwaśna cytryna – Marian, a później moja wisienka, to znaczy tego, Adela, pani Adela. Pukam do drzwi Mariana raz, drugi. Stoję już pięć minut i nic.

– Panie Marianie! Panie Marianie, wszystko w porządku? – krzyczę przez drzwi.

– Właż – słyszę. Otwieram drzwi i obrywam zgnitym ogryzkiem jabłka w łeb. – Wyrzuć to, ale się nie pomył i nie wyrzuć siebie... śmieciu.

Ignoruję, ale Marian się rozkręca, a bardziej przekręca na prawy bok, wyciąga fujarę i zaczyna sikać na podłogę. Szybko podkładam miskę, trochę moczu kapie mi na rękę. Marian ma uciechę, gdy widzi mnie zestresowanego.

– Może byś mi żarcie przyniósł, a nie tak stoisz.

Idę na dół do stolówki, po obiad dla Mariana. Kluski śląskie. Zanoszę Marianowi, ten zjada połowę, drugą połowę rzuca we mnie. Nie bardzo wiem, co zrobić, więc zbieram kluski z podłogi. Marian pokłada się ze śmiechu. Co więcej, wyciąga procę i gumowe pociski, takie, jakich policja używa do rozpydzania tłumu. Nie robi krzywdy, a boli jak sam skurwysyn. Wiem, bo Marian strzelił do mnie kilkukrotnie, zanim udało mi się wybiec z pokoju. Zamknąłem drzwi, zza nich dobiegał przytłumiony głupekowaty śmiech. Nienawidzę go! Rozdygotany poszedłem do Adeli. Na korytarzu minęło mnie dwóch sanitariuszy,

którzy z pokoju obok wynosili zwłoki zawinięte w białe prześcieradło. Za nimi z pokoju wyszła Karolina.

– Pan Wojtek był już w sędziwym wieku. Niech spoczywa w pokoju – powiedziała do mnie, jakbym zapytał.

– Amen – odpowiedziałem zupełnie idiotycznie.

Zapukałem i wszedłem do pani Adeli, ta siedziała na skraju łóżka, wodziła za mną wzrokiem, gdy ja sprzątałem jej pokój. Kątem oka widziałem, że chce się odezwać, że zaraz wybuchnie, potrzebuje tylko zapalnika, który ją uruchomi, znaku, sygnału. No dobra.

– Wie pani, że pan Wojtek z pokoju obok kipnął? – zapaliłem.

– Taa – bardzo powoli pokiwiała głową. – Tacy już jesteśmy, mamy termin zużycia.

– Niestety, razem z ciałem puszcza też świadomość.

– Oj, niekoniecznie – zaprotestowała – pokażę coś panu.

Wstała i z szafy wyjęła album ze zdjęciami. Kazała mi usiąść na łóżku, rozłożyła album. W środku było pełno zdjęć hipisów jarających trawę, pijących itd.

– To ja – pokazała palcem na jedną z hipisek. – To były naprawdę fajne czasy. Ale też mocno nadszarpujące ciało.

– Co pani mówi, dobrze się pani trzyma – skomplementowałem.

– Na zewnątrz może i tak, ale woda nie konserwuje wnętrza. Dużo kiedyś piłam. Za dużo. Przystałam dopiero, gdy odkryłam inne rzeczy. – Znowu zaczęła kiwać głową. – One uwolniły moją świadomość. Moje ciało prawie umierało, a świadomość żyła pełną piersią. Widziałam nawet, jak przychodzi po mnie śmierć. Jest wysoki, kościsty i ma piękne szmaragdowe oczy, świecą w ciemności jak kocie, można by się w nich zakochać. Tylko te bloki...

– Jakie bloki?

– No mieszkanie śmierci, mieszka w bloku.

– Gdzie dokładnie?

– A, nie pamiętam, to było dawno. – Zrobiła pauzę. – Kochasiu, poszedłbyś mi do sklepu? Kup, proszę, sok i LM-lajty. Reszta dla ciebie.

Zrobiłem zakupy Adeli, okazało się, że nie mam już nic do roboty i mogę iść do domu. Leżąc na łóżku, myślałem o całym dniu. Z Adelą było spoko, gdyby

wszyscy tacy byli, to mógłbym tam pracować. Ale ten Marian. Kurwa, nie dam się tak traktować.

Wpadłem na pomysł, który chciałem zrealizować od razu. Przeszedłem do ośrodka w środku nocy, gdy prawie nikogo tam nie było. Marian śpi do 9.31. Budzik ma na 9.30, ale podniesienie powiek zajmuje mu minutę. Więc miałem trochę czasu. Przemknąłem się obok śpiącego portiera, żeby nie wyjaśniać mu, co tu robię tak późno. Szedłem ciemnym korytarzem, nie włączyłem światła, żeby ktoś przypadkiem mnie nie zauważył. W tym mroku nie było widać nic, dlatego szedłem wzdłuż ściany. Przy schodach błysnęło mi coś zielonego, chciałem nawet pójść sprawdzić, co to, ale ostatecznie wrzuciłem ramionami. Pewnie kot, kto by się tam przejmował kotem. Dotarłem do celu, na drzwiach wymacałem numer 13. Poświeciłem komórką. 13. Otworzyłem drzwi uniwersalnym kluczem, a potem cichutko wszedłem do pokoju. Kutas spał. Budzik siłą rzeczy wyłącza z zamkniętymi oczami, więc położyłem kaktusa z parapetu na budzik. Liczyłem, że jak co rano trzepnie budzik swoją wielką łapą. Nad głową Mariana przykleiłem taśmą doniczkę po kaktusie, a sznurkiem przywiązany do dużego palca stworzyłem mechanizm, dzięki któremu ruch nogi Mariana odklei taśmę i doniczka wyląduje na jego głowie. Wróciłem do domu, dospać do swojej zmiany. Rano, gdy przyszedłem do pokoju mojego podopiecznego, ten z guzem na głowie wyciągał igły z dłoni.

– Dzień dobry – przywitałem się z uśmiechem. – Jak panu zleciał (to podkreśliłem) ranek.

– Bardzo. Kurwa. Śmieszne – odpowiedział. – Wiesz, że masz przesrane?

– Ta, niby czemu? – dalej się uśmiechałem jak głupi.

– Temu – Marian ściągnął spodnie od piżamy i zaczął robić kupę do łóżka. – Ha, ha, i co teraz?

– Nie wiem, będziesz leżał w kupie? – wyciągnąłem komórkę i zrobiłem zdjęcie wypiętego Marianowego tyłka, z którego wychodzi kupa.

– Musisz to posprzątać!

– A jak nie, to co?

– To poskarżę się Karolinie i nici z twoich prac społecznych – zrobił ubawioną twarz.

– Pójdę gdzie indziej. Ale przed tym wszystkim wydrukuję to zdjęcie i rozdram wszystkim w tym domu. Zatytułuję to: „Marian robi kupę do łóżka”.

– Mina mu zrzedła. Chwył kawałek tego, co zrobił, i rzucił w moim kierunku. Na szczęście się uchyliłem, a kupa trafiła w ścianę. Wyszedłem z pokoju i za zamkniętych drzwi powiedziałem: – I nie myśl, że to posprzątam, z żarciem na dziś też się pożegnaj. Miłego spania w gównie. – Poszedłem do Adeli.

– Wyglądasz na niewyspanego, ale wyraźnie zadowolonego – zmrużyła oczy. – Czy ktoś u ciebie był w nocy?

– Nie, nie – zaprotestowałem. Chociaż po namyśle stwierdziłem, że powinienem być wzruszyć tylko ramionami, byłby lepszy efekt. No cóż, spaliłem.

– Nie każdy miał tyle szczęścia, co pan, w nocy – Adela powiedziała kąśliwie, jakby nie wierząc w moje zaprzeczenie.

– To znaczy?

– Pani Olga z dwudziestki zmarła w nocy. Luba twojego podopiecznego.

– Kogo? Mariana? – prawie wypadłem z butów.

– Anoo, paniusieńsku, jak on był w niej zakochany. Tylko przy niej nie świrował. Odwiedzał ją, chodzili na spacer po parku. Gdy Marianowi odbijało za mocno, ona była tajną bronią sanitariuszy. Przychodziła do niego i mówiła, że jej się to nie podoba, co robi. Łagodniał w jednej chwili.

– O kurwa – chciałem to pomyśleć, ale powiedziałem. – Przepraszam, muszę coś zrobić. – Wróciłem pod trzynastkę.

Zapukałem, a ze środka usłyszałem ciche: – Wejść. – Otworzyłem drzwi, Marian sprzątał to, co zrobił.

– Czego? – zapytał, klęcząc ze szmatą, którą wycierał podłogę.

– Przyniosłem panu lunch – postawiłem talerz na stoliku. Marian wymył podłogę i ścierkę wrzucił do miski. Usiadł na krześle. Panowała nieznośna cisza, którą postanowiłem przerwać. – Moje kondolencje. Nie wiedziałem.

– Nic nie mów – przerwał mi Marian. – Ona była jedyną osobą, przy której czułem się dobrze, a teraz... – rozbeczał się jak dziecko. – Ja chcę do niej – krzyczał przez płacz.

– Kiedyś się spotkacie – rzuciłem czymś takim, ale zabrzmiało to, jakbym miał zabić Mariana, więc podsunąłem mu tylko talerz ryżu z jabłkami. – Niech pan coś zje.

– Jesteś beznadziejny w tym, wiesz?
– Wiem – prychnąłem zgadzająco. Marian zjadł dwie łyżki ryżu i nagle wypalił:

– To było nawet dobre.

– Ale że co?

– No ten kaktus i doniczka. Trochę ślapstickowe, ale dobre.

– Ymm, dziękuję?

– Jesteś pierwszym sanitariuszem, który mi się odgryzł. Wszyscy, nie wiedzieć czemu, bali się jakoś zareagować, bronić się. Po takim numerze zbie-raliby tę kupę gołymi rękami, a ty po prostu wyszedłeś. Jesteś spoko. – W jego ustach to „jesteś spoko” zabrzmiało trochę nienaturalnie, ale poczułem się, jakby ojciec pierwszy raz powiedział: „Synu, jestem z Ciebie dumny”. Rozmawialiśmy później jeszcze długo. Marian opowiadał mi o wojnie, o pani Oldze, o wszystkim. Gadaliśmy tak do późnego popołudnia, gdy już musiałem wychodzić.

– Muszę lecieć, panie Marianie. Było mi bardzo miło.

– Ej, synalku, tylko nie myśl, że się nie odegram.

– Ho, ho, czekam. Ma pan weekend, żeby coś wymyślić.

– Tylko tu wróc w poniedziałek, to będzie na Ciebie czekać najgorsze gówno.

Miałem nadzieję, że nie mówi tego dosłownie. Weekend był słoneczny, z delikatnym wiatrem. Idealna pogoda na plażę albo piknik. Ja cały przesiedziałem w domu, oglądając „Grę o Tron”. Wróciłem w poniedziałek rano do ośrodka i od razu pognałem do Mariana, aż byłem ciekaw, co dla mnie wymyślił. Podbiegłem pod jego drzwi i pukam. Cisza. Pukam i pukam.

– Panie Marianie, to ja, mogę wejść? – wołam.

– Co ty tu robisz? – zapytał mnie przechodzący obok z paczką herbatników pan Zenon.

– No, przyszedłem do pana Mariana, a co?

– Nie słyszałeś? – na te słowa krew aż odplynęła mi z każdej części ciała niebędącej tułowiem. – Pan Marian nie żyje. W niedzielę go zabrali. Wszyscy myśleli nawet, że to samobójstwo po stracie Olgi, ale nie, on z tęsknoty umarł.

– To niemożliwe – zaprotestowałem. – Miał mi zrobić żart po weekendzie.

Zabrzmiało to na tyle kretyńsko, że pan Zenon przeżuł herbatnika, po-łknął go i powiedział:

– No chyba jednak nie zrobi – i poszedł.

Ja w tym czasie wszedłem do pokoju pana Mariana. A jeżeli to jest ten dowcip, udaje martwego czy coś, szczwany jest. Dogadał się z Zenonem, żeby mi powiedzieć o śmierci. Inaczej już podczas weekendu ktoś by do mnie zadzwonił. Szukam po pokoju jakiejś wiadomości w stylu: „mam cię!”, otwieram szafę, nic.

– Panie Marianie, ok, ma mnie pan, to największe gówno, jakie pan zrobił. Poddaję się. Proszę wyjść. Panie Marianie! Nie! Panie Marianie, niech pan mi tego nie robi.

Padłem na łóżko i zacząłem szlochać. W materacu zostało jeszcze wgłębienie po jego wielkiej dupie, w którym teraz miałem twarz zalaną łzami. Do pokoju weszła Karolina.

– Chciałam panu powiedzieć, co się stało, ale nie odbierał pan.

– Byłem bardzo zajęty – powiedziałem, wycierając nos w prześcieradło.

– Widzę, że żył się pan z panem Marianem. Jeżeli pan chce, może pan dziś pójść do domu – zaproponowała Karolina, ale odmówiłem. Poszedłem do pani Adeli. U niej zawsze czułem się lepiej.

– Niemożliwe, że zmarł. Nie mógł ot, tak odejść, obiecał mi, że zrobi mi żart. Tacy ludzie, jak on, jak sobie coś postanowią, to dotrzymują słowa i nawet śmierć ich nie powstrzyma – tłumaczyła Adela, chodząc po pokoju.

– Tu akurat się z panem zgodzę, nie wierzę, że Marian zmarł z tęsknoty. W piątek wieczorem jeszcze planował swój żart dla pana. Chciał mnie w to wciągnąć. Był tak zawzięty, że nawet śmierć musiałyby poczekać. – Odpowiada mi, siedząc na krześle. Czy to możliwe, żeby go ktoś zabił?

– Macie tu kota? – pytam. Pani Adela zmarszczyła się jeszcze bardziej, niż jest zmarszczona zazwyczaj.

– Kiedyś był, ale Zenon go przejechał – odpowiada po chwili namysłu.

– Czemu pan pyta?

– Szmaragdowe oczy, o których pani opowiadała. Widziałem je w nocy, gdy zmarła pani Olga.

– Co pan tu robił w nocy?

– Nieważne. Te oczy, myślałem, że to kot, ale skoro nie ma tu kota, to musiała być...

– Śmierć – powiedzieliśmy razem.
– Skoro Śmierć zabiła panią Olgę, to prawdopodobnie zabiła też Mariana i całą resztę. Muszę ją odnaleźć. Gdzie są te bloki?
– Mówiłam panu, że nie pamiętam, to było dawno i po używkach.
– Byłaby pani w stanie odtworzyć ten sen?
– Łoo, kochanieńki, musielibyśmy się tu nieźle urznąć i musiałbyś zatawić LSD.

– A gdybym to załatwił, to zgodziłaby się pani mi pomóc?
– E, w sumie dawno nie byłam na tripie, a że w telewizji nic nie leci, to czemu nie, będzie fajnie.

– Jutro jest mój ostatni dzień, zaplanujemy wszystko, ok?
Tak też zrobiliśmy, cały mój ostatni dzień zleciał na planowaniu imprezy z panią Adela. Ustaliliśmy, że kupuję litr absoluta i dwa wina, koniecznie białe, bo po czerwonych pani Adela ma kaca. „Coś z dużym kwasem, tak, co do kwasu będzie pasować”. Po LSD będę musiał pojechać do Czech, mieszka tam mój przyjaciel z dawnych lat, który jest dilerem. Kolejna prośba od Adeli: „Niech mi pan wyśle stamtąd kartkę, nigdy nie dostałam od nikogo kartki z zagranicy”. Ok. Wszystko załatwię.

Nazajutrz siedziałem w pociągu do Pragi z przesiadką w Pardubicach. Na praskim dworcu usłyszałem z głośników coś o „czeskich drahach”, no właśnie, ja tu po to, po czeskie dragi, wiedzieli, po co tu jestem. Mój kolega mieszkał w samym centrum, między Żółtą Bramą a Muzeum Komunizmu. Po drodze do niego kupiłem w kiosku mapę, pocztówkę z mostem Karola dla Adeli i znaczek. Sprawdziłem na mapie, gdzie mam iść, i papiery schowałem do tylnej kieszeni jeansów. Gdy byłem w pobliżu, zadzwoniłem do mojego kolegi.

– W McDonalddie, czekaj w maku – powiedział.
Tak też zrobiłem, zamówiłem sobie royala, bo nie jadłem nic od podróży.

– W zestawie?
– Nie, nie. Samą kanapkę.
W trakcie drugiego kęsa przysiadł się mój kolega, ubrany cały na czarno.
– No to cię słucham, tylko szybko, nie mam całego dnia – zaczął.
– Potrzebuję LSD – powiedziałem.

- A mógłbyś być ciszej?
- Potrzebuję LSD – powtórzyłem.
- Ok, a ile?
- Jedno – widzę, jak mój kolega trzaska się otwartą dłonią w czoło.
- Ale jaka moc? Setka, dwusetka. Ty jesteś początkujący, więc weź lepiej setkę.
- To nie dla mnie, tylko dla doświadczonej zawodniczki.
- Maksymalne mam pięćsetki.
- Dawaj pięćsetę – zabrzmiało to zbyt pewnie.
- Ok – widzę, jak wyciąga z zeszytu znaczek pocztowy i mi daje.
- Nie wiem, czy się dobrze zrozumieliśmy, nie jestem filatelistą, nie płacę ci grubego hajsu za znaczek – obejrzałem znaczek – i to nawet nie żaden specjalny, przed chwilą taki sam kupiłem w kiosku za dziesięć koron.
- Człowieku, ten znaczek jest nasączony kwasem, wystarczy go położyć na języku i zacznie działać. Nie bój nic.

Zapłaciłem, a znaczek schowałem do tylnej kieszeni jeansów. Mój kolega dostał jakiś telefon i zaraz wybiegł, prawie się nie żegnając. Dokończyłem rojala. Kolejny bus mam wieczorem, więc pójdę pozwiedzać. Wyszedłem na ulicę i obejrzałem się na wystający ponad kamienicami dach Złotej Bramy. Jak na widokówce. Tu trzasnąłem się w głowę – kartka dla Adeli. Znalazłem jakiś oddział poczty. W środku nabazgrolilem coś w stylu: „z pozdrowieniami dla mojej współpracownicy z magicznej Pragi. Ahoj. xoxo”. Tylko jeszcze znaczek, gdzie go mam? Z tyłu w spodniach. Znaczek, znaczek, gdzie on, cholera, jest? O, mam! Teraz wystarczy go polizać i przykleić do pocztówki. Po tym hamburgerze miałem suchy język, mogłem jednak wziąć zestaw z fantą, teraz chce mi się pić. Muszę bardzo polizać, albo lepiej położę to na języku, niech leży i nasiąka śliną. Genialny pomysł, tak też zrobiłem.

Po minucie spędzonej ze znaczkiem na języku, zrobiło mi się dziwnie. No tak, nie piłem kawy, zaraz sobie strzele espresso, tylko wyśle tę pocztówkę. Był już na tyle mokry, że dał się przykleić na pocztówce. Wrzuciłem ją do skrzynki i poszedłem na kawę. Jedno szczęście, że włożyłem znaczek z LSD do drugiej kieszeni, inaczej mógłbym się pomylić...

W środku nocy byłem z powrotem we Wrocławiu. Jutro wielki dzień! Będziem pić! Zasnąłem. Cały dzień szukałem w piwnicy lodówki turystycznej, tak co by wódka nie była ciepła, bo przypałowane byłoby mrożenie jej w ośrodku. Wieczorem przyszedłem z nią do Adeli.

– Wszystko mam – i pokazuję jej znaczek.

– Miałeś mi wystać pocztówkę, a nie kupować znaczek, co ja, jestem jakąś filatelistką za dziesięć koron? Gdzie masz cukier?

– Jaki cukier?

– No kwas rozcieńcza się w cukrze – wyjaśniła Adela. Machnąłem ręką.

– To to samo, tylko w znaczku jest.

Adela chwyciła znaczek, obejrzała.

– Kiedyś to przynajmniej miało smak, a teraz? Czuję się jak skrzynka na listy. A propos, zrobisz to, o co cię prosiłam?

– Wysłałem z dedykacją. Znając pocztę, przyjdzie za miesiąc.

– Ok. To co, pijemy?

– Już myślałem, że nie zaproponujesz. – Z żółtej lodówki wyjąłem dwa wina i korkociąg. – Wóda musi być lepiej zmrożona, zaczynamy od wina. Pękła jedna butelka, potem druga i w końcu danie główne.

– Przyszedł czas na deser, gdzie masz te 10 koron?

Podąłem jej znaczek.

– Mam nadzieję, że to nie jakaś mocna dawka, zawsze wystarczała mi setka. – Wzruszyłem ramionami, chociaż, jak teraz o tym myślę, to powinienem coś powiedzieć, żeby nie było takiego efektu. Za późno. Adela trzymała już poštovní známka z wizerunkiem Krecika na języku. Położyła się na łóżku, ja chwyciłem za notes, żeby spisywać wszystkie ważne informacje. Długo nie trzeba było czekać.

– Słyszysz mnie? – zapytałem.

– Taa – odpowiedziała błogim głosem.

– Widzisz Śmierć?

– Tak widzę, dalej ma te szmaragdowe oczy, ale wydawał mi się wyższy ostatnio.

– A widzisz, gdzie mieszka?

– Czekaj, nie wzięłam okularów, nie widzę dokładnie. To są Popowice. Żółty blok. Pierwsza klatka. Ósme piętro, pierwsze drzwi od prawej.

– Adelo, kocham cię! – wyrwało mi się z podświadomości. – Za to, co zrobiłaś, za to, co zrobiłaś – wytłumaczyłem się.

– Leć ratować świat, ja sobie pokorzystam jeszcze z tego stanu. Nie wiem, ile jeszcze może trwać, nie chcę, żeby się skończył.

– Ok. Lecę, przyjdę do ciebie później.

Pojechałem na Popowice, nie było z tym problemu, bo już był ranek. Całą drogę w autobusie mamrotałem, że dorwę skurczysyna za Mariana.

Niedługo chodziłem po Popowicach, żółty blok jakoś wyróżniał się wśród innych. Mam pierwszą klatkę. Wchodzę do windy, wciskam przycisk z ósemką. Pierwsze drzwi od prawej. Są. Zrobiłem przed nimi trzy szybkie wydechy i kopem je otworzyłem. Śmierć w dresie i chuście na głowie mył okno w pokoju.

– O co chodzi? – zapytał zaskoczony, przez co upuścił miskę z wodą.

– To ty mi powiedz.

– Włamujesz się do mojego mieszkania, krzyczysz na mnie, zaraz wezwę policję.

– Wezwij, powiedz im przy okazji, ile osób zabiłeś.

– Mogę, ale co to zmieni? – dziwił się dalej.

– Co? To, że pójdziesz siedzieć! – czułem, jak złość we mnie wzrasta.

– Jak, siedzieć? Za co? Za wykonywanie swojej pracy? Człowieku, czy ty się słyszysz?

– Twoja praca to zabijanie ludzi?!

– No tak, też mi odkrycie – powiedział tak, jakby mówił: „no tak, jestem piekarzem”.

– Ty chory pojebie, dla kogo pracujesz?

– Dla świata, można powiedzieć, że jestem freelancerem – Śmierć się uśmiechnął.

– Zabiłeś mi Mariana! – wykrzyczałem przez zęby – i masz czelność mówić, że dla świata?! – Wyciągnąłem komórkę i pokazałem Śmierci zdjęcie Mariana. – Zobacz, jaki był piękny, zobacz... No dobra, może nie na tym zdjęciu, ale musisz mi uwierzyć na słowo, że był.

– Człowieku, on miał prawie dziewięćdziesiąt lat, dla ludzi to czas, żeby dać sobie spokój z życiem. Gdyby nie ja, na tej planecie nie dałoby się żyć. Nikt by się nie rozwijał, bo nie byłoby na to miejsca. Bo wy, ludzie, jedyne, co potraficie i robicie przez wieki, to się pierdolić i rozmnażać – podsumował Śmierć.

Nie wytrzymałem i biegiem rzuciłem się na Śmierć. Pech – a raczej połączenie alkoholu i mokrej podłogi – chciał, że potknąłem się i wylecieliśmy razem przez okno z ósmego piętra. Uderzyliśmy o ziemię dokładnie w tym samym momencie. Tu dochodzimy do rozwiązania zagadki, jak to jest, że żyję i nie żyję jednocześnie. Śmierć umarł, więc nie mogłem umrzeć, ale uderzyłem w ziemię w tym samym momencie, więc teoretycznie jestem martwy. Dziwne to wszystko. Byłem połamany, ale po kilku miesiącach wróciłem do – nawet nie wiem, jak to nazwać – bycia(?). Śmierć nie przeżył upadku i pochowaliśmy go na cmentarzu komunalnym. Resztę historii już znacie. Ludzie pokumali, że nie ma śmierci, tak się ucieszyli, że dziewięć miesięcy po ogłoszeniu tej informacji przez wszystkie światowe media był kolejny baby-boom! Oczywiście imperializm nie zniknął, tylko że zaczął on polegać na czym innym. Już nie można było zabijać tych drugich, więc różnicę trzeba było zrobić w drugą stronę. Liczyło się to, kto będzie miał więcej ludzi ze swojej nacji. No i się zaczęło mnożenie na potęgę. Dopiero w momencie krytycznym ludzie pokumali, że to bez sensu i zaprzestano kopulacji dla rozmnażania. Oczywiście pojawili się moraliści, mówiący, że to nienaturalne tak uprawiać seks dla przyjemności, a nie dla prokreacji. No i weźcie im wytłumaczcie, że nieumieranie też jest nienaturalne...

Śmierć miał rację, cokolwiek by się działo, ludzie potrafią się tylko pierdolić. Oczywiście robili to dalej i co chwila zdarzały się wpadki i rodził się jakiś berbeć. I tak przez tysiące lat, aż do tego stopnia, w którym jesteśmy teraz. Gdyby tak tylko znalazł się ktoś i zabrał większość tych ludzi na inną planetę, byłbym wdzięczny. To moje SOS w kosmos!



Będzie lepiej

– Daremny palant! – wykrztusza okrzyk zdartym głosem. – Mówiłem, że to sytuacja beznadziejna, końcowa i tylko ma zajrzeć czasem, czy dzwonić już do Zieleni!

Spogląda na mnie bokiem, wygląda przy tym jak ptak, który wylądował na parapecie i zdziwił się obecnością człowieka po drugiej stronie okna. Znam takie sytuacje. Samotni staruszkowie przywiązują się do swoich opiekunów socjalnych i nie chcą widzieć na progu nikogo innego. Zamknięci w swym małym świątku, kolekcjonują setki przedmiotów porozstawianych po całym mieszkaniu, w którym zawsze unosi się słodki biologiczno-chemiczny zapach. Przedstawiając się, ryzykuję uśmiech, na co rysy mężczyzny łagodnieją.

– Mnie mów jak chcesz. Miałem tyle imion, że już sam zapomniałem, jakie było pierwsze. – Mruży przymglone oczy, drapie się po głowie i stęka wymownie. – Ok. Wejdz już. Po coś przecież przyszłaś.

W ciągu czterech lat pracy socjalnej jeszcze nikt po osiemdziesiątce nie usłyszał „ „ok”. Reszta mnie nie zaskakuje. Rozglądam się po mieszkaniu. Nic przytulnego – zwykle wewnątrz starszego kawalera, pozostawiane drobnymi przedmiotami, z oknem zasuniętym do połowy białym prostokątem lnianej tkaniny. Rozproszone promienie słoneczne smakują kolory przeróżnych pamiętek. Światło załamuje się na błękitach małej porcelanowej rozgwiazdy, by wślizgnąć się do tandetnego, pomalowanego w różyczki wazonika, a następnie skończyć swój migotliwy taniec na kolorowym łabędziu origami, powstałym

z odpowiedniego ułożenia dziesiątek małych papierowych trójkącików. Robiłam kiedyś coś podobnego, pomagając podczas terapii zajęciowej.

– Przyszłaś tu tylko po to, by to wszystko zauważyć, wiesz? – oznajmia nagle, a kiedy okazuje się, że stoi za mną, myślę przez chwilę, że osiwieję w wieku dwudziestu siedmiu lat.

– Przestraszył mnie pan. Gdzie mogę usiąść? Chciałabym w miarę szybko uwinąć się z wywiadem – wygłaszam formułkę, wyciągając akta.

– Każda z nich była młoda, wiesz? Każda zaczynała – mówi nagle coś tak zaskakującego, że myślę: „Boże. Seryjny mi się trafił. Kolekcjoner. Pewnie nie mogą go ująć od pięćdziesięciu lat i ostatecznie dostanie wylewu, wbijając mi nóż w serce jako swojej ostatniej ofierze. Będziemy wyglądać jak splątany symbol odwiecznej walki młodości ze starością”.

– Żartujesz w myślach, prawda? – pyta, siadając na jednym z foteli i wskazując mi drugi. Wskazał tak, że musiałam postuchać. – Nikogo nie zabiłem, nie bój się. Tobie też nie wbiję noża. Ja nie wbijam, ja wyciągam. Kolki wyciągam z serc kobiet.

„Co za prostak. Czy mogę uznać, że mnie obraził, i wyjść? Obraził mnie? Skąd on wie, co ja myślę?”.

– O czym pan mówi? Idę. Przyjdzie jednak Tomek – postanawiam wyjść. Wstaję, ale on jednym zdaniem usadza mnie na miejscu.

– Wiem, co mama wyznała ci na koniec. Ciebie też przeszłość trzyma.

Nie chcę, by mówił dalej. Spogląda na mnie po ptasiemu i jednak kontynuuje, jakby opowiadał bajkę.

– Wiem, że teraz bardzo się boisz i wiem, że wszystko ci zamarza. One czuły to samo. Łabędź należał do dziewczyny, która dziewięć lat wspominała swoją pierwszą miłość. Była za młoda, by poznać kogoś tak idealnego. Zatrut jej życie, zablokował jej przyszłość. Wyrwałem ją w klubie, a potem zabrałem jej to wspomnienie. Uwolniłem ją. Pomogę ci – oznajmia.

Mówi rzeczy obłąkane w sposób, którego nie da się podważyć. Zwykle, gdy stary człowiek opowiada historię, myślisz, że albo bredzi, bo zmiany demencyjne zjadają mu mózg, albo wymądrza się, zakładając, iż wiek zawsze niesie ze sobą wielką wiedzę o życiu. Myślę, że on to oba przypadki. Za chwilę wiem, że się mylę.

– O czym ty mówisz, człowieku? Skąd możesz wiedzieć? Znasz mnie, prawda? Jesteś jakimś starym znajomym mamy albo znałeś kogoś, kto ją znał. Jaki klub? Ty, masz, czekaj... – zaglądam w akta, na które kapią łzy, odkąd usłyszałam o mamie – ty masz osiemdziesiąt sześć lat! Jakie wyrwanie? Kim ty jesteś? Czym ty jesteś!?

W głowie mam watę, do której napływa woda i rozsadza mi czaszkę. Co się dzieje? Coś mi dodał do herbaty? Do tej herbaty, której nawet nie tknęłam? Która nadal jest w tym dzbanku stojącym na stoliku pomiędzy nami?

– Poprzednia zrobiła dla mnie tego łabędzia, kiedy trafiła do szpitala ze złamanym biodrem – mówi dalej. – Poślizgnęła się, wracając do domu po tamtej imprezie. Zawsze coś im się potem działo. Wszechświat wyrównywał rachunki. Zawsze, gdy tylko zabrałam im wspomnienie, one robiły sobie jakąś krzywdę. Czasem łamały paznokiec, a czasem biodro. I zawsze mi coś dały na koniec. Czują potrzebę, by mi dać coś materialnego. By mi coś oddać – milknie na chwilę.

Jego głos przestaje być głosem zrzędliwego starca, a zyskuje pewność. Nie wierzę własnym oczom, kiedy jego zmarszczki wygładzają się, a mięśnie napinają. Widzę to na własne oczy. On młodnieje. Ten staruch naprawdę młodnieje!

– Gdy jestem młody, wy mi ufacie. Powiedz to, a przestanie istnieć. Będzie lepiej – szepnął.

Mama nie chciała odejść w kłamstwie. Bała się. Ale to było niepotrzebne. Nagle zabrakło mi sił na walkę z tym starcem, który teraz siedział przede mną jako młody chłopak o czarnych włosach i błękitnych, dobrych oczach. Uwierzyłam mu.

– Mama mi powiedziała, że tata to zrobił na siłę. Że tamtego wieczora, kiedy powstałam, ona nie chciała. I że ją bolało – zapłakałam tak, jak nigdy wcześniej.

Chwilę później już nie miałam powodu.

– Następnym razem coś panu przyniosę. Na pamiątkę – uśmiechnęłam się, wychodząc.

– Proszę na siebie uważać. Do zobaczenia – odparł starzec.



AGNIESZKA GORLAK

Pamiętasz mnie?

– Pamiętasz mnie jeszcze?

Bezgłośnie – kreślę słowa spierzchniętymi wargami, powtarzam jak osobistą mantrę, w kółko, w koło, w kolisko ogromne i przytłaczające, jak to, co się za nimi kryje. Już drugą godzinę leżę w przekwitłej pościeli, przekwitającym ciałem wyznaczając granicę pomiędzy tym, co moje, a tym, co reszty. Reszty nie trzeba, dziękuję, splotałam z nadwyżką dług wobec świata i nie chcę nic więcej. Próbuję się podnieść. Próbuję wzrokiem sięgnąć poza horyzont łóżka, pokoju, mieszkania, tego cholernie wyniszczającego miasta, kraju i planety, która więzi mnie swoją kulistością. Jak mam ruszyć dalej, skoro wiem, że i tak w końcu trafię w to samo miejsce. Rezygnuję. Gdzieś tu na pewno leżą papierosy.

– Pamiętasz mnie jeszcze?

Oczy zawsze miałam pełne błękitu, chociaż mama ciągle powtarzała, że nie ma w ich kolorze nic stałego, że zmieniają się, że dostosowują, że brak im konsekwencji, że brak im stanowczości. Wiosnę witają zielenią, zimę szarością, a ten błękit domniemany, którego ja tak kurczowo się trzymam, pojawia się tylko na chwilę i nic nie zmienia. A ja oczy zawsze miałam pełne błękitu i dziś są go tak pełne, że przelewa się to z jednej, to z drugiej granicy.

– Znowu ryczysz?

– Nie, gram w palanta.

– Raczej zgrywasz palanta. Rusz dupę, wykąp się i zacznij funkcjonować

jak trzydziestoletnia kobieta, bo przyznam szczerze, to, co odpierdalasz, robi się już nudne.

K. przyczał się na granicy mojego królestwa i czekał. Zawsze tak robił, nigdy nie przekraczał Rubikonu, dopóki nie upewnił się, że w tej wersji wydarzeń rozmiętkam na tyle, żeby bezwolnie poddać się jego taktyce. Drugi scenariusz to wojna domowa, krwawa jatka, w której nie ma zwycięzców, nie ma przegranych, są same trupy. Dzisiaj miał szczęście.

– Pamiętasz mnie jeszcze? – tym razem udało się rozedrgać powietrze na tyle mocno, żeby w formę tchnąć dźwięk i wybrzmieć mantrą wprost do zmysłu słuchu.

– W jakim sensie pamiętam? Przecież tu jesteś, trwasz, nie muszę cię pamiętać, chociaż przyznam, że żaloszny widok, który sobą prezentujesz, z przyjemnością z pamięci bym wyrzucił.

No tak. Lewitując na ostatnich już oparach przez noc grudniową, naznaczyłam swoje ciało typowymi dla tego rodzaju podróży pamiątkami. Gustowna trwała z błota, zrobiona podczas spektakularnego lotu pikującego po tym, jak lewa noga postanowiła zemścić się na prawej za dawno już przebrzmiałe przewinienia. Makijaż, który w akcie samouwielbienia rozlał się nie tylko po twarzy, ale też szyi i obojczykach również. Dwa mieniące się barwami sińce na kolanach, którymi ryłam barową podłogę w poszukiwaniu portfela dezzerterującego z mojej torebki akurat w momencie optacania absurdalnie wysokiego rachunku za drinki, których nazwa zapowiadała chwilę zapomnienia, za to skład w bolesnej pamięci wracał dość często tego wieczoru. Leżałam naga. Nie bardzo wiem, dlaczego, skoro tak nie znoszę widoku swojego regularnie odzieranego z młodości ciała. Coś musiało pójść nie tak, jakieś zakłócenia na linii decyzja–wykonanie. Gdzie są te cholerne papierosy?

– Słucham?

– Nie widziałeś moich papierosów?

– Nie będziesz palić w sypialni.

Z nim tak zawsze.

– Z tobą tak zawsze! – powiedział K. podniesionym głosem, co zapowiadało wyczerpujący temat wykład o mojej przepetnionej wdziękami

i kobiecością osobie. Nie tym razem jednak. Tym razem jego drobne ramiona udźwignęły moje rozlewające się zwłoki i pokonawszy niezbyt imponujący dystans góra dwóch metrów, wrzuciły je, niczym do dziury cementarnej, do wanny. K. odkręcił wodę, a ja wyobrażałam sobie, że jestem bohaterką filmu gangsterskiego i właśnie moje ciało zostaje pogrzebane w cementowej trumnie. Wyjątkowo zimnej trumnie.

– Nie można cieplejszej nalać?

– Zimna dobrze ci zrobi! Masz! – powiedział, wkładając do moich ust ulubionego mentolowego pallmalla. I znów nie udało się utrzymać błękitu w ryzach.

– Co znowu?

– Pamiętasz mnie jeszcze? Proszę, powiedz, że pamiętasz, że nie pogrzebałam siebie tak głęboko, że tylko szpik kostny mówi, kim naprawdę jestem. Moje życie, te cholerne trzydzieści lat regularnie rozbijane na tysiące maleńkich, upierdliwie raniących kawałków, których nie da się już w żaden sposób dopasować. A przecież tak bardzo próbowałam, nawet nie sama, z kimś do spółki, żeby było łatwiej i szybciej, ale za każdym razem w tym na nowo składanym lustrze tafla była wyszczerbiona, o nierównych granicach, a ja nie siebie widziałam w odbiciu, tylko kolejną wersję siebie, podporządkowaną, uległą, wprawdzie nie w pełni zadowolającą, niewystarczająco piękną, niedostatecznie mądrą, niezbyt zniewalającą zachwycającą, nie inspirującą kreatywną, ale taką, no wiesz, „w porządku”, taką „może być”, „może się nada” na chwilę, na przystanek w pędzie do czegoś lepszego, wspanialszego. Pamiętasz mnie jeszcze? Bo ja już siebie nie pamiętam, nie pamiętam, czy faktycznie ukrywając się pod łóżkiem ze strachu przed ojcem, wyobrażałam sobie, że wirując w powietrzu kurz to drobiny magii, która przecież musi być w świetle i musi mnie ochronić. Nie pamiętam, czy kąpiąc się w parkowym strumieniu, zraniłam lewą czy prawą stopę o rozbitą w wodzie butelkę po piwie. Nie pamiętam, czy lubiłam patrzeć, jak zachodzące jesienne słońce przedzierало się przez pożółkłe liście, rozpalając koronę drzewa jak świętą pochodnię. Nie pamiętam, czy stojąc nocą nad brzegiem morza, krzyczałam w utkane gwiazdami niebo, że tak bardzo cierpię i że ja już nie chcę więcej kochać. Przede wszystkim jednak

nie pamiętam, kiedy mój świat został podzielony na dwie części, na czerwień i biel. Nie pamiętam też, dlaczego czerwień zawsze było więcej, a dopiero pod nią była biel, skrywana skrzętnie i skąpo dawkowana. Nie pamiętam też, ile razy starałam się przebić wprost do tej bieli, omijając czerwień wszystkich nieprzespanych nocy, żłobionych zębami paznokci, płynących korytami zmarszczek łez.

– Wróć do mnie!

Słyszę głos K., chociaż jego już nie widzę. Musiał gdzieś w trakcie mojego wybuchu płaczu i egzaltacji wycofać się na bezpieczną pozycję. I o co właściwie mu chodzi. Dlaczego właśnie teraz zmienia temat, dlaczego znowu ucieka ode mnie, odwraca się, kiedy wszystko zaczyna robić się tylko troszkę bardziej skomplikowane.

– Wróć do mnie!

– Jakie, kurwa, wróć? – wykrzykuję w bezsilnej wściekłości, bo tylko ona mi teraz została, kiedy jak zawsze zostałam sama. – Przecież jestem tu cały czas. Cały czas walczę o to, żeby tu być, żeby być dostrzeżoną, żeby wyrwać się z pozycji elementu zdołającego przetrzeć i stać się znaczeniem.

– Wróć do mnie!

Jak można wrócić, skoro nigdy się nie miało odwagi odejść. Skoro zawsze się dawało drugą, trzecią, dziesiątą szansę, zawsze obdzierało się z godności, z dumy po to tylko, żeby ten był zadowolony, ta była zadowolona, to było zadowolone.

Od zimnej wody zaczynają sztywnieć mi palce u stóp. Próbuje unieść rękę w kierunku kurka. Próbuje poprosić K., żeby mimo wszystko dołąć trochę ciepłej wody. Próbuje znaleźć papierosa, który jeszcze przed chwilą był w moich ustach, a teraz zniknął. Próbuje. Podjęłam próbę.

I znowu skąpo dawkowana biel skrywa się skrzętnie pod warstwą tej cholernej czerwień.



KAROLINA JAWORSKA

Kocie

Lampka

Lampka w kształcie grubego białego kota daje przyjemne światło. To już pięć miesięcy, odkąd ostatni raz się ze mną przekomarzał, mówiąc, że to duch. Wie, że jestem drażliwy na punkcie kotów, ale i tak zawsze musi mi podokuczać. Przepraszam, musiał. Bo to już przecież czas przeszły.

Lampka w kształcie grubego białego kota stoi na mojej szafce nocnej. Niestety w takim miejscu, że często zdarzało nam się ją zrzucić. A to łokciem, a to dłonią... Nie mieściliśmy się do końca na łóżku, a to jedyne miejsce w moim pokoju, gdzie da się usiąść we dwoje i obejrzeć film na małym telewizorku.

Lampka w kształcie grubego białego kota na szczęście jest plastikowa, więc nie tak łatwo ją stłuc. Na szczęście, albo i nieszczęście, może gdyby się wtedy rozbiła, wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie doszłoby do tej kłótni, bo zająłbym się sprzątaniem. A tak nie było niczego, co mogłoby mnie odciągnąć od wypowiedzenia tych słów.

Na lampkę w kształcie grubego białego kota podobno od dawna jestem już za duży. Natomiast na to, żeby pogodzić się z własnymi uczuciami, pewnie zawsze będę za mały. Nie rozumiem, dlaczego nigdy nie mogę się wpasować wiekiem w coś, co jest dla mnie ważne.

Lampka w kształcie grubego białego kota daje przyjemne światło w taką noc jak ta. Rozprasza koszmary, które nachodzą mnie od pięciu miesięcy. Tych pięciu miesięcy, odkąd ostatni raz byliśmy razem.

Asfalt

W niedzielę o 7.15 miasto jeszcze spało. Ulice były zupełnie puste. Kiedy przechodziłem przez przejście dla pieszych, słońce świeciło mi w plecy. Przystanąłem i spojrzałem w niebo. Było czyste, błękitne, ozdobione jedną chmurką, przypominającą zorzę. Niewiele myśląc, położyłem się na pasach. Szorstki asfalt drażnił moją skórę. Powietrze pachniało latem. Słychać było ptasi śpiew. Zamknąłem oczy.

O 7.19 usłyszałem kroki. Chwilę później doszedł szelest ubrań i tuż przy mojej głowie pojawiła się jego głowa.

–Wiesz, że nawet o tej godzinie na naszym osiedlu pojawiają się samochody? To niebezpieczne tak leżeć na środku drogi.

– Wiem.

Żaden z nas nie wstawał, cieszyliśmy się spokojem. Słońce przyjemnie grzało i czułem się szczęśliwy. Jedyne, czego mi wtedy brakowało, to uścisk jego dłoni. Bałem się jednak wziąć go za rękę, nie wiedziałem, jak zareaguje. Niby nie stroniłiśmy od kontaktu fizycznego, ale jednak to nie to samo...

Wstałem gwałtownie, a on za mną.

– Jeśli zaraz nie pójdziemy, spóźnimy się na tramwaj – powiedziałem, jakbym chciał usprawiedliwić nagłe przerwanie sielanki.

Poszliśmy na przystanek w milczeniu. Wokół nas szumiały pojedyncze samochody. Jakichś dwóch mięśniaków wypakowywało z ciężarówki kartony i wносиło je do sklepu. Miasto już się obudziło.

Za wcześniej

Leżę w łóżku z zamkniętymi oczami. Wstuchuję się w swój oddech. Jest równy i cichy. Spokojny.

Obudziłem się wcześniej, niż powinienem. Mógłbym jeszcze spać pół godziny, ale wiem, że mi się to nie uda. Mógłbym też dołączyć do rodziców i zjeść wspólnie z nimi śniadanie. Tylko że ostatnio, jak to zrobiłem, przy stole panowała niezręczna cisza. Lepiej nie będę im przeszkadzał.

Zza ściany dobiega szmer głosów. Rodzice siedzą w kuchni, a ona przylega do ściany, przy której stoi moje łóżko.

– I dobrze, że się z nim nie widuje! – krzyk ojca jest tak niespodziewany, że aż podskakuję. On przecież nigdy nie krzyczy.

Nie słyszę odpowiedzi matki, ale myślę, że go uciszyła, bo potem mówi już spokojnie, choć wciąż go słyszę.

– Zrozum, teraz będzie lepiej. Skończą się plotki. Przynajmniej na ten temat.

Potem już nie rozróżniam słów. Stukają naczynia wkładane do zmywarki, bzyczy elektryczna szczoteczka do zębów; jej dźwięk jest raz głośniejszy, raz cichszy, w zależności od tego, gdzie znajduje się ojciec. Często szuka swoich rzeczy do pracy, myjąc zęby.

Słyszę przekręcanie klucza w zamku, kiedy rodzice wychodzą. Nastaje cisza. Sprawdzam godzinę; zostało mi pięć minut do pobudki.

Leżę w łóżku z zamkniętymi oczami. Wsluchuję się w swój oddech. Jest równy i cichy. Spokojny.

Tramwaj

Tramwaj podjechał o 7.34. Spóźnił się dwie minuty, ale to nas nie zmartwiło, i tak wiedzieliśmy, że będziemy musieli czekać na autobus do zoo. Czekać aż pół godziny, bo w niedzielę komunikacja miejska jeździ o tak dziwnych godzinach, że ciężko znaleźć jakieś normalne połączenia.

Pomimo wczesnej godziny większość miejsc była zajęta, jednak udało nam się znaleźć dwa wolne siedzenia obok siebie. W zasadzie nie obok siebie, ale jedno za drugim. On usiadł z przodu, ja za nim i oparłem się o tył jego fotela.

– Wyglądasz jak dziecko, kiedy tak robisz – powiedział, a ja nie bardzo zrozumiałem, co miał na myśli.

– Jak co robię?

– Jak tak podpierasz się łokciami. Przypominasz dzieciaka, który podrywa starszą od siebie dziewczynę.

Zabolało. Zabrałem łokieć i odchyliłem się na swoje oparcie. Nie uważam,

żebym wyglądał jak dziecko, do tego podrywające dziewczynę. Tylko co do tego starszeństwa się zgodzę, mój przyjaciel ma rok więcej niż ja. Ale cóż to za różnica! Jeden rok niczego nie zmienia.

– Dzięki – powiedziałem kwaśno i udałem, że się obrażam. W rzeczywistości nie mógłbym się na niego dąsać.

Kawa

6.38 to zdecydowanie nie jest odpowiednia godzina na podróż tramwajem do szkoły. Ludzie, którzy mi towarzyszą, chyba też tak sądzą; świadczą o tym ich zaczerwienione, półprzymknięte oczy i ponury wyraz twarzy.

Ktoś śpi oparty o szybę. Ciekawe, czy on też długo nie mógł zasnąć? Albo budziły go koszmary? Albo po prostu był całą noc na imprezie. Nie każdy w końcu musi mieć problemy ze snem.

Ktoś je kanapki. Nigdy nie umiałbym wmusić w siebie jedzenia o tak wczesnej porze. W ogóle ostatnio nie jem zbyt wiele. Jakoś nic mi za bardzo nie smakuje.

Ktoś pije kawę z białego kubka termicznego. Jej zapach roznosi się po tramwaju, co przyprawia mnie o mdłości. On zawsze kupował sobie latte w drodze do szkoły, a ja zawsze mu powtarzałem, że kiedyś wysiądzie mu serce. Pił jej naprawdę dużo i wszelkie możliwe rodzaje. Teraz pewnie też ją pije, ale już nikt go nie strofuje.

Wysiadam na swoim przystanku o 7.15. Mam dziesięć minut do lekcji, więc spokojnie zdążę. Zawsze zdążam.

Rysie

Od bramy zoo do baru, w którym pracowaliśmy, trzeba przejść koło wybiegów dla dzikich kotów. Zawsze przystawałem przy rysiach, najbardziej je polubiłem. Ich wielkie, ciemne oczy fascynowały mnie; niestety nigdy nie miałem więcej niż minutę, żeby się im przyjrzeć. Przecież nie mogłem się spóźnić do pracy.

W barze byłem na zmywaku, mój przyjaciel obsługiwał frytkownicę i składał zestawy obiadowe. Odpowiadały nam te zajęcia, chociaż nie lubiłem momentów, kiedy musiałem opuszczać moją zmywarkę i iść pozbierać brudne naczynia ze stolików. Niestety nie dało się tego uniknąć, bo nie wszyscy ludzie odkładali je do okienka.

Nie mieliśmy tego dnia zbyt dużo pracy. Nie wiadomo dlaczego, pogoda była przecież ładna. Może wszyscy pojechali na plażę, zamiast włączyć się po zoo.

Wyciągałem naczynia ze zmywarki, kiedy mój przyjaciel i jeszcze kilkoro współpracowników siedzieli w kuchni i rozmawiali. Wtem ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się, lekko przestraszony, ale to był tylko mój przyjaciel.

– Możemy pogadać? – spytał. W odpowiedzi kiwnąłem głową, a on zaprowadził mnie na zaplecze. – Wiesz, jest taka sprawa – zaczął, gdy byliśmy sami.

– Jaka? – miałem złe przeczucia.

– Obiecałem, że przyjdę do ciebie po pracy – przygryzł wargę i uciekł wzrokiem. – Ale przed chwilą umówiłem się z dziewczynami na seans spirytystyczny. Dzisiaj po pracy.

– Mogę z tobą? – spojrzałem na niego błagalnie.

– Nie wiem... A co, jeśli będziesz się bał?

– Dam radę. – Nie dodałem, że zniósłbym wszystko, żeby móc spędzić z nim jak najwięcej czasu.

Po pracy przechodziliśmy koło wybiegu rysiów. Były niespokojne, chodziły w kółko, zamiast leżeć i leniwie obserwować przechodniów, jak miały w zwyczaj. Przystanąłem na moment i spojrzałem w oczy tego, który był najbliżej. Nie wiem, czy mi się nie wydawało, ale dostrzegłem w nich strach.

Korytarz

Przerwy u nas w szkole są wypełnione muzyką. Gdy leci jakiś porywający kawałek, zdarza się, że niektórzy tańczą. Nigdy nie tańczyłem przy ludziach, jestem na to zbyt sztywny, ale on namiętnie się wygłupiał. Zapraszał jakąś ślicznotkę i wąski korytarz zamieniał się w parkiet.

Teraz z głośników rozbrzmiewają dźwięki „Lemon Tree” Fool’s Garden. Jakiś wysoki chłopak w marynarce tańczy przed dużo niższą dziewczyną; przeskakuje z nogi na nogę i pstryka palcami do rytmu. Co jakiś czas robi obrót i całuje dziewczynę w policzek. Ona stoi z rękoma podpartymi pod boki, wywraca oczami, ale się uśmiecha.

Ten chłopak strasznie mi go przypomina. Ta swoboda, płynne ruchy, marynarka... Jedyne, co się nie zgadza, to dziewczyna. Nie to, żeby nie mógł mieć dziewczyny. Po prostu... On nigdy żadnej nie pocałował, nawet w policzek.

Cieszę się, że nie widzę twarzy tańczącego chłopaka.

Miłość

Płomień świeczki kotłował się na boki. Dołączyły do niego jeszcze cztery. I znów kolejne, łącznie siedem. Dzięki nim widziałem wszystkich uczestników; siedzieliśmy w okręgu, a na środku leżała tabliczka Ouija. Stykaliśmy się palcami, pięć dziewczyn i nas dwóch. W powietrzu unosił się zapach szaławii.

Jedna z dziewczyn zaczęła coś nucić, reszta do niej dołączyła. Spojrzałem niepewnie na przyjaciela, a on do mnie mrugnął. Wiedział, że trochę obawiam się nieznaną rzeczy i chciał dodać mi otuchy.

Nagle zrobiło się zimno, a płomień przygasł. Ciarki przeszły mi po plecach. Szukałem wzrokiem jego radosnego spojrzenia, ale i u niego uśmiech się ulotnił. Bałem się.

– Witaj, duchu. Kim jesteś? I skąd przybywasz? Jakie masz zamiary wobec nas? – spytała dziewczyna, która wcześniej zaintonowała wezwanie.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Zacząłem się nawet powoli uspokajać, kiedy nagle drgnął trójkątny wskaźnik. Wjechał na środek tabliczki i zaczął wskazywać na poszczególne litery. Ułożyły wyraz MIŁOŚĆ.

– Czy twoje zamiary to miłość? – spytała prowadząca.

Wskaźnik pokazał NIE, znajdujące się w prawym górnym rogu tabliczki.

– Przychodzisz z miłości? – wciąż zgadywała dziewczyna.

NIE.

– Nazywasz się Miłość?

TAK.

Dziewczyny spojrzaly po sobie. Każda zapewne chciałyby się dowiedzieć czegoś od Miłości. O ile to była prawdziwa Miłość.

– Czy chciałbyś, duchu, powiedzieć coś o przyszłym życiu ludzi tutaj zgromadzonych?

Wskaźnik zaczął kręcić się wokół, jakby niezdecydowany, kogo wybrać, po czym zatrzymał się na mnie. Krew odpłynęła mi z twarzy, miałem ochotę uciekać. Jednak za bardzo się bałem, żeby jakkolwiek zareagować.

Drewniany trójkąt powoli obrócił się do mojego przyjaciela. Potem znów z liter ułożył wyraz MIŁOŚĆ.

– Duchu, co chcesz nam przez to powiedzieć?

Zero odpowiedzi.

– Duchu? Słyszysz mnie?

Wskaźnik wskazał ŻEGNAJ na dole tabliczki. Prowadząca spojrzała na nas przepraszająco.

– Dziękujemy, duchu miłości. Przepraszamy za zakłócenie spokoju, żegnamy i odsyłamy cię tam, skąd przybyłeś.

Znów zrobiło się ciepło. Prowadząca prędko zapaliła światło. Zebraliśmy się wokół niej.

– Przepraszam was, nie wiem, co to było – dziewczyna zaczęła się tłumaczyć. – Nie rozumiem nic z tego, jeszcze nigdy seans nie był tak dziwny.

– Spoko, nic się nie stało – mój przyjaciel położył dziewczynie rękę na ramieniu. – I tak to było niesamowite przeżycie. A duchy przecież muszą być dziwne – uśmiechnął się. – Bo tylko jakiś walnięty upiór mógł pomyśleć, że jesteśmy gejami, nie? – spojrzał na mnie wymownie.

Nie odpowiedziałem.

Sam

Po przyjściu do domu od razu zaszywam się w pokoju. Rodzice jedzą obiad. Nie dołączam do nich.

Nie pytają, czy chcę coś zjeść. Pewnie już się przyzwyczaili, że odpowiadam im, że nie jestem głodny.

Po obiedzie szykują się do wyjścia. Matka zakłada czarną sukienkę, którą pomogłem jej kiedyś wybrać i w której według mojego przyjaciela wygląda wspaniale. Ojciec zakłada białą koszulę i marynarkę. Wygląda naprawdę przystojnie.

– Kochanie, wrócimy koło północy – do mojego pokoju zagląda matka, zakładając kolczyki. – Ktoś do ciebie przychodzi czy będziesz sam?

– Sam – odpowiadam zbyt szybko, co brzmi trochę niegrzecznie, ale nie mam ochoty z nią rozmawiać. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać.

Widzę smutek w oczach matki, pewnie ma wyrzuty sumienia, że znowu mnie zostawiają.

– Skarbie, musimy iść – wtrąca się ojciec. Matka jeszcze bardziej smutnieje.

– Cóż, to... mitego wieczoru – mówi i dołącza do ojca, który już wychodzi.

Kot

Wracaliśmy do domu tą drogą, co zawsze. Było ciemno, na szczęście on był przy mnie. Nie miałem odwagi, żeby wziąć go za rękę, dlatego po prostu szedłem bliżej. Tak blisko, że ramieniem ocierałem się o jego ramię. Nie odsunął się.

Nagle na trawniku zauważyłem ciemny kształt, którego nie umiałem przypasować do niczego, co mogłoby się tam znaleźć.

– Co to? – spytałem z lekkim strachem w głosie.

Zmrużył oczy, ale i on nie był w stanie rozpoznać kształtu. Podeszedł bliżej i przykucnął.

– To kot – wstał i wrócił do mnie. – Chodźmy już.

Ruszył, ale ja zostałem. Kiedy odwrócił się, żeby mnie upomnieć, zobaczył, jak idę w stronę kota. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, klęczałem na trawie i tuliłem do policzka miękkie i zimne futerko. Łzy moczyły czarną sierść kota, kotka, koteczka. Mojego kociaka. Wszystkie kotki są moje...

– Zostaw. Nawet nie był twój – poczułem jego dłoń na ramieniu.

– Nie rozumiesz. Nie żyje przeze mnie. To coś go zabiło! Ten upiór! Ten duch! On chce mi wszystko odebrać. Wszystko. Mój kotek... – szlochałem.

Wyrwał mi zwierzątko z rąk i delikatnie odłożył je na ziemię. Potem, już nie tak delikatnie, podciągnął mnie z ziemi i prowadząc za rękę, zabrał do domu.

W mieszkaniu nie było nikogo, rodzice wyjechali na weekend. Bałem się, że i on mnie zostawi, ale zamknął za nami drzwi, umył ręce i usiadł na moim łóżku.

– Idź się umyć i przebrać. Pachniesz trupem.

Stałem tylko i patrzyłem.

– Co z tobą?! Czemu jesteś taki dziwny? Człowieku, zachowuj się normalnie, a nie jak dziecko! Żeby chociaż jak dziecko! Przypominasz bardziej regularnie bite i zahukane zwierzę! – wymachiwał rękoma tak gwałtownie, że aż zrzucił lampkę. Nie stłukła się.

Krzyczał. Krzyczał na mnie. Na mnie. Dlaczego? Zrobiłem coś nie tak?

– Wiesz... Bo ja... Dlaczego na mnie krzyczysz? Ja cię tak kocham... – Skuliłem się na podłodze, zacząłem płakać. Nawet bardziej niż przy kocie.

– Już cichutko, już spokojnie – przytulił mnie, głaskał po ramieniu, kołysał. – Przepraszam, nie powinienem był...

Wtulilem się w niego. W przeciwieństwie do kota był ciepły i pachniał przyjemnie: proszkiem do prania i lekko frytkami.

– Kocham cię, wiesz? – mówię przez łzy.

Poczułem, jak sztywnieje. Znów zrobiłem coś, czego nie powinienem.

– Już to mówiłeś. Poza tym domyśliłem się już dawno – powiedział chłodno.

– To dlaczego nic nie mówiłeś?

– Muszę już iść – wstał, zostawiając mnie płaczącego na podłodze.

Otworzył drzwi.

– Nie powiesz mi „do zobaczenia”? – spojrzałem mu w oczy.

– Nie.

Wzdłuż

Za oknem czerń. Deszcz pada, wybija stały rytm. Wsluchuję się w niego. Zamykam oczy. Kołyszę się, poddaję mu się.

Przeżyłem wiele takich wieczorów. Rodzice często wychodzą, lubią się

bawić. Czasem koncert, czasem teatr, często szli, byleby wyjść. Nie lubią siedzieć w domu. I zawsze mnie zostawiają.

Kiedyś nie przeszkadzała mi ich nieobecność. Przychodził do mnie przyjaciel, mój jedyny, mój najlepszy, mój kochany przyjaciel. Oglądaliśmy filmy, było cudownie. Byliśmy tak blisko siebie... Serce biło mi szybko.

Teraz go nie ma. Zostawił mnie.

Nie wiem, który to już samotny wieczór. Ale chcę, żeby był ostatni.

Czasami nazywał mnie tchórzem, bo śpię przy zapalanej lampce. Nie daje dużo światła, ale jest ono ciepłe, kojące. Każdy potrzebuje ukojenia.

Dzisiaj, choć ciemno, lampka jest wyłączona. Teraz już nie wygląda jak kot. Miał rację, rzeczywiście przypomina ducha.

Otacza mnie mrok, krople dudnią o szybę, jest mi zimno. Boję się wyjść z pokoju, żeby przynieść koc. Boję się, ale jednak wychodzę. Kafelki w przedpokoju chłodzą moje i tak zmarzniete stopy.

Przebiegam szybko do salonu i zabieram koc. Ten sam koc, pod którym tak często z nim siedziałem...

Łzy napływają mi do oczu. Mam wrażenie, że się duszę, szloch zatyka mi gardło. Otwieram drzwi na balkon i wychodzę na deszcz. Opieram się o barierkę, patrzę w dół. Nachodzi mnie ochota, żeby skoczyć. Podobno mózg podsuwa takie pomysły, żeby wyrobić sobie odruch obronny, żeby aktywowała się chęć przetrwania.

Coś chyba się jednak zepsuło, bo idea skoku mnie nie odrzuca. Byłaby nawet zachęcająca, gdyby to nie było pierwsze piętro. Co najwyżej bym się potamał.

Wracam do domu, przemoknięty, trzęsący się z zimna. Mam zamiar wrócić do swojego pokoju, ale nogi same mnie niosą do kuchni.

Tata kupił ostatnio nowy nóż. Ceramiczny, z czarnym ostrzem i czerwoną rączką. Jest prosty, zwyczajny, ale mnie wydaje się piękny.

Po raz pierwszy, kiedy jestem w domu, nie palą się żadne światła. Mimo to rozróżniam wszystkie kształty, nawet udaje mi się znaleźć ten nóż. Idę z nim do swojego pokoju.

Siadam na podłodze, wsuwam się w wolną przestrzeń między szafką nocną a biurkiem. Włączam lampkę; już nie chcę być odważny, chcę ukojenia.

Nóż błyszczy w ciepłym blasku. Wygląda, jakby puszczał mi oko. Uśmiecham się.

Gładzę ostrzem swoje przedramię. Już nie czuję chłodu, jest mi przyjemnie ciepło. Stróżka krwi jest niewielka.

Jeszcze raz tnę nożem. Tym razem nie delikatnie. Wkładam w to całą swoją siłę. Boli, krew już nie cieknie, wręcz tryska. Moja ręka jest rozcięta wzdłuż. Tak podobno ciężko zaszyć ranę.

Krew... Głęboko wciągam powietrze. Nie lubię krwi. Boję się krwi.

Dopiero teraz to do mnie dociera.

Słabo mi...



DAMIAN KURNIEWICZ

Przez serce do żołądka

Dziś pierwszy raz w życiu naprawdę poczułem swoje serce. Nie żebym nie wiedział, że je mam, ale nie myślałem o tym za często, przyznaję. Tak samo nie uświadamiasz sobie do końca posiadania nogi, dopóki nie kopniesz w złości starego pogiętego kartonu, który okazuje się wypełniony cegłami. Stare pogięte kartony mają to do siebie, że zazwyczaj są puste i służą doskonale do wyładowywania na nich frustracji. Ostatnią rzeczą, której się po nich spodziewasz, jest twarda zawartość.

Podobnie jak w przypadku nogi po spotkaniu z kartonową pułapką, ból i zdziwienie pojawiły się nagle i jednocześnie. Ból w okolicy, gdzie zazwyczaj na obrazkach w podręcznikach anatomii znajduje się serce. Zdziwienie w głowie.

Wiele razy słyszałem opisy uczucia ucisku i duszności w klatce piersiowej, ale moje wyobrażenie, teraz to widzę, miało się nijak do rzeczywistości. Jechałem w kierunku centrum. Autobus kołysał się rytmicznie na nierównościach, a pasażerowie razem z nim. Wszyscy stojący balansowali ciałami jak narciarze na stoku. No i wtedy się zaczęło. Najpierw zapiekło mnie w klatce piersiowej, potem przyszło zaciemnienie przed oczami. Pierwsza myśl: to na pewno zawał! Nogi ugięły się pode mną, przez co straciłem chwilowo kontrolę nad swoim ciałem.

Pech chciał, że w tym momencie pojazd kołysał mocno i moje ciało – jak akrobata na arenie cyrkowej wyrzucony łagodnie przez kolegów do wykonania ewolucji – wylądowało dwa metry dalej, uderzając głową o coś twardego obok

nóg korpulentnej pani w średnim wieku. Tym samym do spisu aktualnych dolegliwości doszedł ból potylicy.

Wobec tak dalekiego odejścia od stereotypu zachowania się w środkach komunikacji miejskiej, współpasażerowie poczuli się w obowiązku zareagować.

– Panie, panie, co pan! – zaczęła korpulentna. – Z takimi baletami to na salę gimnastyczną!

I prychnąwszy, podciągnęła połę płaszcza, odwracając głowę do szyby.

– Co się pani ciska! Chłop musi sobie czasem wypić, a do domu trzeba jakoś wrócić, co nie?

Włączył się do dyskusji obrońca wszystkich, którzy „muszą sobie czasem wypić”. Mocno wyświechtane ubranie, bełkotliwy głos i ogorzała twarz sugerowały, że jego pojęcie „czasem” rozciąga się na całą dobę przez siedem dni w tygodniu.

Jakieś dwie małolaty uniosły głowy znad ekranów swoich telefonów i zachichotały, nie wiadomo, czy z bełkotu pijaczka, który uśmiechnął się do nich, prezentując braki uzębienia, czy mojej niezamierzonej ewolucji.

Chłopak z dziewczyną, oboje koło dwudziestki, siedzący nieco dalej, toczyli dyskusję, co robić:

– Nie idź, zostań. Jak chcesz coś zrobić, to zadzwoń na pogotowie. O, tu niedaleko jest szpital, to facet może sobie tam pójść.

– Ale nie widzisz, że on nie może wstać. Ty zadzwoń na pogotowie, a ja podejść do kierowcy.

Wszystko to dochodziło do mnie jak przez grubą zasłonę. Obawiałem się, że po wymianie zdań korpulentnej z żulem zostanę sklasyfikowany jako drobny pijaczek po baletach i jako taki będę zmuszony radzić sobie sam, co po prostu mnie przerażało.

Wsparty na łokciu, chwyciłem się pionowego słupka i jak dowódca okrętu wojennego po trafieniu przez przeciwnika, starałem się naprędce ocenić straty i zniszczenia. Ucisk w dole klatki piersiowej i splocie słonecznym na szczęście się nie zwiększał. Był mocny, ale staty. Dwie albo trzy minuty leżenia spokojnie na podłodze zmniejszyły duszność i osłabienie. Zawroty głowy ustąpiły. Potylica bolała, ale skóra nie była rozcięta. Jednak na razie o próbie wstawania czy nawet siadania nie mogło być mowy.

Te oględziny trwały może z parę minut, podczas których autobus, jak mi się zdawało, nieco zboczył z kursu. Nadzieja na pomoc, która się tliła w mojej głowie po rozmowie pary dwudziestolatków, ziszczyła się bardzo szybko. Kierowca zatrzymał się koło szpitala, a z oddziału ratunkowego wyszli sanitariusze z noszami. Kilka krótkich rutynowych pytań i zostałem, wbrew moim lekkim oporom i zapewnieniom, że może jednak sam spróbuję wstać, sprawnie położony na nosze.

Leżąc tak, pomyślałem, że pomimo podłej obecnie sytuacji, w której się znalazłem, nawet mnie może się jeszcze zdarzyć coś pierwszy raz. Otóż pierwszy raz w życiu byłem niesiony na noszach.

Na izbie przyjęć zatroskane moim stanem pielęgniarki skierowały nas od razu do gabinetu. Ich żal nad moim nieszczęściem wyglądał na szczery, co miło polectało moją męską dumę. Wydawało mi się, że nawet leżąc na noszach, jestem atrakcyjny dla płci przeciwnej. Pewno wyglądałem równie męsko, jak rozjechana żaba, ale nie ma to, jak podbudować sobie męskie ego wyobrażeniem, że wyglądam się jak macho.

W gabinecie młody lekarz wystuchał mojej opowieści, zaświecił w oczy latareczką i dokonał reszty szamańskiej diagnostyki. Poczulem się lepiej. Pewnie to, że nie leżałem już na podłodze w autobusie, znieruchomiąty z bólu, obgadywany przez pasażerów, ale na leżance w szpitalu, podziałało na mnie tak kojąco.

Zawieźli mnie na dalsze badania, po których wróciłem do młodego szamana. Odzyskawszy jako taką jasność myśli, mogłem mu się lepiej przyjrzeć. Niski, chyba niewiele po trzydziestce, krótkie włosy, zmęczone oczy. Sprawiał wrażenie najbardziej przeciętnego człowieka na świecie, co w przypadku lekarza akurat jest raczej zaletą.

– No i jak się pan czuje teraz, lepiej? – padło sakramentalne pytanie.

– A pan, panie doktorze? – chciałem być oryginalny i nie powiełać wyświechtanych sloganów.

– Jak na trzydziestą czwartą godzinę ciągłej pracy, całkiem nieźle. Bywało gorzej.

– Czy wie już pan, co przydarzyło się mojej ziemskiej powłoce? – za-

pytałem, zniesmaczony jego szablonową odpowiedzią. Pomimo zapewnień, że „nieźle”, był chyba zbyt zmęczony, żeby wyjść w rozmowie poza udzielanie w miarę logicznych, ale prawie automatycznych odpowiedzi.

– Tak, wiem – odparł krótko, pochylony nad kartką, wypełniając kolejną rubryczkę lekarskimi gryzmołami.

– No więc? – odezwałem się po dłuższej pauzie.

– Miał pan zgagę.

– Hyyyh?! Co?! – prawie mnie znowu zatkało, ale tym razem z wrazenia.

Pomyślałem sobie, że chyba młody medyk postanowił zabawić się moim kosztem, aby choć na moment rozerwać się w drugim dniu nieprzerwanej pracy. O ile wiem, od zgagi nie pada się w autobusie na podłogę i o mało nie umiera na miejscu! Co najwyżej piecze cię jak cholera w przetyku.

Nastąpiło kilka sekund konsternacji z mojej strony i rozbawienia, objawiającego się lekkim uśmieszkiem w kącikach ust, ze strony doktora.

– Co pan jadł dzisiaj?

Bum! Kolejny żart?! Żadne tam „czy przeżył pan ostatnio jakąś tragedię”, żadne „może dotknęła pana jakaś trauma”! Nic z tych rzeczy. Tylko moje dzisiejsze menu! Po chwili wpatrywania się w jego twarz zrozumiałem, że mówi poważnie. Ochłonawszy z zaskoczenia, uruchomiłem pamięć i zacząłem przywoływać wydarzenia dnia sprzed autobusowej przygody:

– Rano tylko kawa... potem długo nic. Pojechałem do kolegi obgadać nasz sobotni wypad na ryby... kilka kieliszków wódki, ale żadne tam pijaństwo, symbolicznie, poza tym to było ładnych parę godzin temu.

– No a potem już nic? – drążył lekarz.

– Kolega lubi słodkości, więc zrobił coś z roztopionej czekolady z cytryną i czymś jeszcze. Później jeden głębszy na odchodne i jakieś śledziki w oleju na ostro, żeby zabić zapach alkoholu.

– Alkohol, czekolada z cytryną, śledzie w oleju – powtórzył w zadumie młody doktor. – Żebym ja miał taki żołądek – rozmarzył się. – Tylko zazdrościć. Mnie takie połączenie nie przeszłoby nawet przez gardło.

– Więc mówi pan, że wszystkie te objawy nie były związane z sercem? A że mi pociemniało przed oczami i prawie przytomność straciłem? To też zgaga?

– Prawdopodobnie skutek hiperwentylacji – odpowiedział znad swoich papierów, już wyraźnie znudzony moim przypadkiem.

– Aha – powiedziałem machinalnie.

Nie byłem do końca pewien, co oznacza hipercośtam, ale w sumie już mnie to nie obchodziło. Skoro to była tylko jakaś głupia zgaga, to w porządku.

Wracam do gry.



MICHAŁ NAUMOWICZ

Sąsiedzi

Czteropiętrowy blok z płyty, wybudowany na początku lat dziewięćdziesiątych. W mieszkaniu na parterze Marek chodzi po pokoju, nosząc na rękach małe dziecko. Marta siedzi przy stole i je zimny obiad.

– No, co się dzieje skarbeczku?? Co się dzieje? Jesteś przewinięta, masz suchutko. Mamusia właśnie ciebie nakarmiła, tatuś teraz przytula. Śpij, kochaniutka, śpij.

Mówi do niej łagodnie i spokojnie. Dziewczynka z czasem przestaje płakać, a jej oczka zaczynają się zamykać.

– Od razu jej nie kładź. Musi mocniej zasnąć – mówi żona.

Kobieta kończy zmywać naczynia, a on nadal chodzi po pokoju.

– No, już wystarczy.

Nachyla się nad małym łóżeczkiem, kładzie córeczkę i delikatnie przykrywa.

– Mamy chwilę dla siebie – oznajmia.

– Ja padam z nóg.

Marta kładzie się na kanapie. Marek otwiera laptopa.

– Chwilę popracuję.

Po kilku minutach słyszą głośne dudnienie. Kobieta zrywa się z kanapy. Zza ściany dochodzi muzyka disco polo.

– O rany, zaraz się obudzi. To miało być spokojne mieszkanie.

Z łóżeczka słychać szelest. Malutka kręci się i cicho pomrukuje.

– Idź, powiedz, aby to ściszyli.

Wychodzi w kapciach na klatkę. Przykłada ucho do drzwi mieszkania obok. Po chwili dzwoni. Otwiera mu facet wyższy o głowę, barczysty, brzuchaty. Sporo starszy.

– Co jest? – pyta bez ogródek.

– Dzień dobry. Nie mieliśmy okazji się poznać. Wprowadziliśmy się...

– O co chodzi? Na parapetówkę przyszedłeś mnie zaprosić?

– Na parapetówkę zaprosiłbym kogoś młodszego... Proszę pana. Mamy małe dziecko. Dopiero położyliśmy je spać.

– To dobrze, małe dzieci muszą dużo spać.

– Aby małe dzieci spały, muszą mieć ciszę.

– Cisza to jest nad morzem.

– Ściszy pan tę muzykę? Poproszę.

– Z pustą ręką?

– Nie rozumiem.

– Na przyszłość przyjdź z flaszką. Najpierw się poznamy.

– Nie mam ochoty pana poznawać. Chcę, aby pan ściszył.

– Zobacz się.

Zamyka drzwi. Marek zostaje na klatce. Słyszy kroki kogoś schodzącego po schodach. Starszy mężczyzna, mieszkający dwa pietra wyżej. Marek spotkał go już rano.

– Był pan u Bruzdy?

– Mamy małe dziecko i ta muzyka trochę nam przeszkadza.

– Nie sądzę, aby pana postuchał.

– Wytączył muzykę. Już nic nie słychać.

– Na chwilę wytączy i potem znów włączy. To dobry facet jak nie pije, ale jak zacznie, to trawa to kilka dni. I wtedy muzyka gra od rana do nocy.

– Będę musiał zadzwonić na policję.

– Proszę pana. Bruzda jest z policji. Jak pan myśli, oni coś zrobią? Nawet nie będą chcieli przyjechać.

Marek wraca do mieszkania. Żona chodzi z córeczką na rękach. Mała znów płacze.

– Dziękuję, że to załatwiłeś.

– Daj, ja ją ponoszę. Prześpij się chwilę.

Marta oddaje zawiniątko mężowi i wraca na kanapę. Malutka przestaje płakać i po chwili zaczyna przysypiać. Kiedy Marek ma ją odłożyć do łóżeczka, muzyka znów zaczyna grać. Tym razem głośniej niż poprzednio.

Mąż oddaje żonie dziecko i wychodzi na klatkę. Dzwoni i mocno puka do drzwi. Bruzda się nie spieszy. Marek zaczyna walić pięścią w drzwi.

– Co jest, do cholery?

– Nic nie jest, do cholery! Jestem świadkiem jehowy i przyszedłem pana nawracać... Ściszy pan tę muzykę?

– Człowieku, rządz sobie u siebie.

– Tak się składa, że u siebie nie słyszę własnych myśli, tylko to gówno od pana. I mi pan dziecko budzi.

– Połóż je do innego pokoju.

– Nie będzie mi pan mówił, gdzie mam kłaść dziecko.

– A ty mi nie będziesz mówił, jak mam słuchać muzyki.

Drzwi trzaskają. Marek znów wali w nie pięścią. Bruzda wyskakuje na klatkę. Jest cięższy jakieś czterdzieści kilo od Marka, więc ten odruchowo się cofa.

– Jeszcze raz, facet, walniesz w te drzwi, to ci rękę połamię.

– Proszę o ściszenie muzyki.

– Pocałuj mnie w cztery litery.

Bruzda zatrzaskuje za sobą drzwi. Marek wraca do mieszania.

– To jakiś pojeb – mówi do żony. – Dzwonię na policję.

Mała ryczy, żona wygląda na zmęczoną i zrezygnowaną.

Podaje adres i prosi o szybką interwencję. Co jakiś czas wygląda przez okno.

– Pizzę szybciej dowożą.

Radiowóz przyjeżdża po czterdziestu minutach. Muzyka wciąż gra. Dwóch funkcjonariuszy dzwoni przez domofon. Marek wpuszcza ich na klatkę.

– Próbowałem z nim rozmawiać, ale nic nie pomaga...

– My się tym zajmujemy – mówi wyższy.

Dzwonią do drzwi obok. Marek obserwuje wszystko przez wizjer. Wchodzą do mieszkania. Zapada cisza.

– I co? – pyta żona.

– Nic. Siedzą u niego w mieszkaniu.

Marta odkłada dziecko do łóżeczka. Słyszą głośnie męskie śmiechy i policjanci wychodzą. Niższy idzie do radiowozu, wyższy dzwoni do nich do domu. Marek odczekuje chwilę, zanim otwiera drzwi.

– Wszystko powinno być już w porządku. Sąsiad ma dzisiaj co świętować, ale już kończy.

– Mam nadzieję, bo będę dzwonił.

– Oby na rachunek panu starczyło.

Zamyka drzwi.

– To wszystko jedna klika – oznajmia.

Przytula żonę i razem kładą się na kanapę.

– Chyba się chwilę zdrzemniemy.

Zamykają oczy i muzyka tak jak poprzednio zaczyna grać. Dziecko znów się budzi.

– Już dzwonię.

Brakuje wolnego radiowozu.

– Nikogo nie przyślą.

– No to zrób coś.

– Ale co mogę zrobić.

– Nie wiem, daj mu w ryj.

– Chyba oszalałaś. Widziałaś, jak ten facet wygląda.

– To ja do niego idę. Potrzymaj dziecko.

– Marta, uspokój się.

– Oszaleję od tej muzyki i od tego płaczu.

Marek otwiera barek. Ma tam zapieczętowane pół litra. Bierze butelkę i wychodzi. Marta uspokaja córeczkę.

Bruzda jest bardziej pijany niż wcześniej.

– Sąsiedzie, źle zaczęliśmy naszą rozmowę. Dogadajmy się jak Polak z Polakiem.

– O, proszę. Można się jednak zachować. Bardzo proszę do środka.

– Ja tylko chciałem dać mały prezent.

– Jak z prezentem, to nie będziemy gadać na klatce.

Wchodzi do mieszkania. Z głośników huczy. Spodziewał się bałaganu, ale wszystko jest wysprzątane. Na stole w kuchni stoi butelka wódki i trzy kieliszki. Obok trzy szklanki z herbatą. Pozostałość po patrolu. Bruzda dostawia kolejny kieliszek.

– Ja nie mogę. Chciałem tylko panu dać tę buteleczkę.

– Przestań marudzić. Siadaj. Napijmy się.

Marek siada, a Bruzda nalewa po kieliszku.

– Może pan ściszyć, nie będziemy krzyżeć.

– Jak się ze mną napijesz, to ściszę.

Marek pije gorzką wódkę i lekko się skrzywia. Bruzda przechodzi do pokoju i ścisza.

– To co, po jeszcze jednym?

– Nie mogę. Naprawdę. Muszę jeszcze wieczorem jeździć samochodem.

– To po co przylałeś? Nasyłasz na mnie policję, wydzwaniasz do mnie, walisz w drzwi.

– Przyszedłem, żebyś zrozumiał, że mamy małe dziecko i ono w dzień śpi.

– Facet, nachodzisz mnie tutaj. I co sobie wyobrażasz? Że jak mi przyniesiesz flaszkę, to będziemy kumplami i będziesz mi mówił, co mam robić.

– Nie, kumplami nigdy nie będziemy. Chciałem, tylko żebyś zrozumiał, że nie mieszkasz tutaj sam. Mieszkasz w bloku i normalnie się zachowuj.

Bruzda polewa do dwóch kieliszków.

– Napijmy się.

– Nie będę już pił.

– To wypierdalaj!!!

Facet zrywa się ze stołka i chwyta Marka za koszulę. Podnosi z fotela i popycha w stronę wyjścia.

– Puść mnie, szmaciarzu.

Marek próbuje się opierać, ale jest dużo słabszy. Jego ręce tylko przez chwilę trzymają się framugi. Bruzda wypycha go na klatkę.

– I więcej tutaj nie dzwoń.

Marek jest cały rozdygotany. Muzyka znów zaczyna grać. Mężczyzna wraca do domu. Marta jest już ubrana, córeczka zapięta w nosidełku.

– Jadę do mamy. Mogłam cię nie słuchać i nie szukać żadnego mieszkania na wynajem.

– To nie moja wina.

– Ty znalazłeś to mieszkanie. I mówisz, że będzie spokój.

Marek zostaje w mieszkaniu sam. Robi sobie kanapkę i zjada. Próbuje oglądać telewizję i jeszcze dwa razy dzwoni na policję.

– Przysłemy radiowóz, jak tylko jakiś będzie wolny.

Zapada zmierzch, muzyka ucicha. Bruzda wychodzi na klatkę. Marek przytka oko do wizjera. Mężczyzna jest mocno pijany i schodzi do piwnicy. Marek zagląda do szafy z narzędziami. Znajduje młotek, zawija go w szmatę i chowa pod bluzkę.

Bezszelестnie schodzi po schodach. Kiedy znajduje się w piwnicy, ktoś wchodzi na klatkę. Przykleja się do ściany i nie oddycha. Kroki cichną. Znów zaczyna iść w kierunku sąsiada. Dostrzega go nachylonego nad jakimś kartonem. Zakrada się od tyłu. Spod bluzy wyjmuje młotek. Bruzda nagle się prostuje i ogląda za siebie. Marek w ostatniej chwili skręca w boczny korytarzyk. Kiedy słyszy szelest przeglądanych rzeczy, wychyla się ponownie i podchodzi zdecydowanym krokiem. Młotek zatacza w powietrzu łuk i uderza w tył głowy. Bruzda upada twarzą w karton.

Za plecami zapala się światło. Marek obraca się i widzi sąsiada z drugiego piętra.

– Prawdziwie sąsiedzka miłość.

Marek unosi lekko młotek. Mężczyźni mierzą się spojrzzeniami.

– Niech pan się odsunie – oznajmia sąsiad.

Przechodzi obok Marka i rozgląda się po górnych półkach. Na jednej z nich stoi pusty gąsior do robienia wina. Mężczyzna bierze go w ręce, jest dość ciężki. Przykłada go do zakrwawionej głowy ofiary, i tak poplamiony rzuca w karton. Następnie chwytą za regał i mocno nim potrząsa, tak, że ten się przesuwa.

– Teraz to wygląda na wypadek.

Kilka dni później Marek wynosi z mieszkania wózek. Wewnątrz Marta ubiera dziewczynkę na spacer.

Drzwi do mieszkania zostają otwarte. Do klatki wchodzi sąsiad z drugiego piętra. Widzi kobietę i dziecko.

– Ale sobie ten Bruzda narobił – zaczyna.

– Ponoć miał wypadek – odpowiada Marek.

– Głowa rozbita, coś mu się w szyi przestawiło. Ledwo chodzi i drętwieją mu ręce.

– Słyszałem.

– I to w takim momencie, wie pan. Dostał awans i za dwa tygodnie miał się przeprowadzić do Warszawy... A teraz, to już pewnie tutaj zostanie.



MARIA PEPLIŃSKA

Wisielec

Jesień tego roku rozpoczęła się wyjątkowo fatalnie. I to nie ze względu na obfite opady deszczu czy też gwałtowne podmychy kąsającego wiatru. Jesień tego roku rozpoczęła się wyjątkowo fatalnie, ponieważ zginął człowiek. Mój klient. Gdyby wpadł pod ciężarówkę lub też poniósł śmierć w jakiś inny banalny sposób, to nie miałbym sobie nic do zarzucenia. Niestety, tak się nie stało. Broniek został znaleziony martwy na plaży w Orłowie i gdyby nie betonowe buciki, które miał na nogach, to jestem pewien, że Krzysztof Rosót-Rostoński, inspektor wydziału śledczego w Gdańsku i mój dawny kolega z firmy, uznałby, że gość poszedł po prostu popływać i nieszczęśliwie zachłusnął się wodą. Na szczęście w obliczu twardych dowodów i ze mną przyczepionym jak rzep psiego ogona Rosót mógł tylko kłać, szukać winnych i wzywać na pomoc świętych, w których moce i tak nigdy nie wierzył. Ja też nie wierzyłem. Do czasu. Do czasu, kiedy pewnego deszczowego poranka, w drzwiach mojego biura stanęła elegancko ubrana kobieta, a ja z nie do końca sobie znanych przyczyn podjąłem się odnalezienia dla niej świętego Nepomucena.

– Sprawa jest dość nietypowa, detektywie – zaczęła, miękko zapadając się w fotel i oblizując nerwowo usta pociągnięte czerwoną szminką. – Otóż wydaje mi się, że z katedry Oliwskiej skradziono obraz świętego Nepomucena.

– Wydaje się pani? – spytałem spokojnie, nie próbując nawet zliczyć, ile to już razy moim klientom wydawało coś, co nigdy nie miało miejsca.

– Jestem konserwatorem zabytków i nie bezpodstawnie użyłam tego

sformułowania – powiedziała, nie zwracając uwagi na moje pytanie. – Obraz, o którym mówię, imponujące dzieło sakralne ufundowane przez opata Antoniego Hackiego w 1688 roku, wisi w prezbiterium katedry. I nie, nie przestyszał się pan. Ten obraz wciąż wisi – dodała, nachyliwszy się w moją stronę tak, że poczułem ciężki, zmysłowy zapach jej perfum.

– W takim razie skąd przypuszczenie, że ktoś go ukradł?

– Bo jako konserwator zabytków doskonale wiem, kiedy mam do czynienia z oryginałem, a kiedy z dobrze namalowaną reprodukcją – powiedziała z przekonaniem, wyciągając z torebki obrazek świętego i kładąc go na drewnianym stoliku, tuż obok kryształowej popielniczki i wypalonej w połowie paczki fajek.

Z perspektywy czasu nie wiem, czy to ona była tak przekonująca, czy też wpływ na moją decyzję miały jakieś święte moce. Ale jedno jest pewne. Następnego dnia udałem się do miejsca, w którym ostatni raz byłem ponad trzydzieści lat temu, kiedy to ponury, siwowłosy kapłan odprawiał mszę za duszę moich tragicznie zmarłych rodziców. Katedra niewiele zmieniła się od tego czasu. Bogata sztukateria, przepych i ciężkie proporcje, które kiedyś zrobiły wrażenie na sześćioletniej sierocie, teraz czarowały swym blaskiem zagranicznych turystów. Obce języki mieszały się z muzyką organową, a zapach wosku palonych świec drażnił mi nozdrza. Usiadłem w ławce i wyciągnąłem z kieszeni obrazek ze świętym.

– Spowiedź? – wysoki mężczyzna w sutannie z lekko wytłupianymi oczyma i nalanej twarzy usiadł obok i znaczącym ruchem głowy wskazał na konfesonat, przed którym zgromadziła się już spora kolejka wiernych.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem krótko, mając nadzieję, że czarna sukienka zostawi mnie w spokoju. Tak się jednak nie stało, a ksiądz zamiast odejść w stronę czekających na niego owieczek stwierdził chyba, że czas na wrócić starego kozła.

– Święty Nepomucen – oznajmił, wskazując na obrazek, który trzymałem w ręku. – To patron dobrej spowiedzi.

– Pod swoją opieką ma też innych nieszczęśników... – odpartem, wzruszając ramionami.

– Prawda – przytaknął. – Jest też patronem topielców. W naszej katedrze wisi z prawej strony ołtarza głównego. Niestety, stąd, gdzie siedzimy, jest bardzo słabo widoczny.

– A jednak ktoś dopatrzył się różnic... – powiedziałem zdawkowo, zastanawiając się, czy duchowny podłapie temat obrazu. Podłapał.

– Filip Bojar, prywatny detektyw – przedstawiłem się, widząc, że trafiłem na dobry grunt. – Czy wyjaśni mi ksiądz, co stało się z oryginałem obrazu świętego Nepomucena i dlaczego na jego miejscu wisi kopia?

Przytaknął, zmartwiony, po czym wyśpiewał mi wszystko jak na spowiedzi. Okazało się, że Anna Gliwińska miała rację i wiszący w katedrze obraz to po prostu dobra reprodukcja. Po paru minutach szczerzej rozmowy ksiądz Antoni przyznał, że podejrzewa, iż doszło do niefortunnej pomyłki. Otóż kilka miesięcy wcześniej poprosił jedną z sióstr zakonnych o namalowanie pięciu kopii obrazu świętego Nepomucena, które następnie podarował zasłużonym parafianom. Nie spodziewał się jednak, że reprodukcje te będą tak dobre, że trudno będzie odróżnić je od oryginału, a już w najśmielszych snach nie przypuszczał, że ktoś może się pomylić bądź też celowo podmienić obrazy. Przerażony myślą, że gdy kuria dowie się o tej pomyłce, odwoła go z funkcji proboszcza i odeśle na wieś, której szczerze nie znoślił, wołał milczeć i modlić się do wszystkich świętych, by sprawa nigdy nie ujrzała światła dziennego. Gdy skończyliśmy rozmawiać, trzymałem w ręku notes z adresami obdarowanych parafian oraz dopisanym ołówkiem imieniem siostry zakonnej, która namalowała kopie.

Do Orłowa dotarłem po niemal czterdziestominutowej jeździe w fatalnych warunkach atmosferycznych. Przeklinając roboty drogowe i wszystkich, którzy parkowali auta na wąskiej jednokierunkowej ulicy, wysiadłem z samochodu i ruszyłem w stronę klasztoru sióstr elżbietanek. Mimo że odległość była niewielka, to bezlitośnie siekący deszcz i głębokie kałuże sprawiły, że wkrótce moje buty z powodzeniem mogły posłużyć złotej rybce za akwarium. Podszedłem do ciężkich drewnianych drzwi i już miałem złapać za klamkę, gdy te otworzyły się z hukiem, a z budynku wypadła młoda dziewczyna z wielkim kartonowym pudłem w dłoniach.

– Cholera jasna! – zaklęta, odbijając się ode mnie. – Mógłby pan trochę uważać!

Ponieważ całe życie staram się trzymać z dala od rozwścieczonych kobiet, odsunąłem się od niej na odległość ramienia i zrobiłem jej przejście.

– Nie ma co, dżentelmen z pana – usłyszałem za sobą jej ociekający ironią głos.

– Nie prosiła mnie pani o pomoc – zauważyłem ponuro.

– Więc teraz proszę! – nie zważając na obfity deszcz, postawiła pudło na ziemi i spojrzała na mnie wyczekująco.

– Weronika! – Starsza siostra zakonna, której pojawienia się kompletnie nie zarejestrowałem, spojrzała na dziewczynę z niemyt wyrzutem.

– Przyszedłem porozmawiać z siostrą Łucją – powiedziałem do starej, chwytając od dołu ciężkie pudło, pełne farb, pędzli i innych akcesoriów malarskich.

– W takim razie spóźnił się pan o dobre dwa miesiące – odpowiedziała dziewczyna, nie dając zakonnicy dojść do głosu.

– Została gdzieś przeniesiona? – spytałem, wstawiając karton do bagażnika starego opla, w którym śmierdziało rozpuszczalnikiem i mokrym psem.

– O, tak – przytaknęła skwapliwie Weronika. – Ten gość z góry – wskazała podbródkiem na zachmurzone niebo. – Przeniósł cioteczkę do wieczności.

– Ożeż kurwa! – zakląłem, nie zwracając uwagi na to, że znajduję się na poświęconej ziemi.

– Nie przypominam sobie, żeby cioteczka parała się najstarszym zawodem świata, ale tego nigdy nie można być pewnym – mruknęła ironicznie dziewczyna, wyciągając drobną dłoń w moim kierunku. – Weronika Mannici – przedstawiła się. – Jestem jej siostrzenicą. Jeśli przyszedł pan zlecić cioteczce namalowanie jakiegoś obrazu, to chętnie przejmę zlecenie. Za drobną opłatą, oczywiście.

– Oczywiście – burknąłem, sięgając do kieszeni po papierosy.

– To co? – drążyła dalej. – Malujemy dzieciątko, mały portrecik, ukochaną mateczkę?

– Dziękuję, ale nie skorzystam. Nie chodziło mi o zlecenie – wyjaśni-

łem, a widząc jej pytające spojrzenie, kontynuowałem: – W zeszłym roku pani ciotka namalowała kilka kopii obrazu świętego Nepomucena. Niestety dla mnie reprodukcje te są tak dobre, że nie wiem, jak odróżnić je od oryginału...

– To proste – wzruszyła ramionami. – Obrazy cioteczki można poznać po inicjałach, które stawiała na płótnie po drugiej stronie. Proszę się dobrze przyjrzeć, a na pewno pan znajdzie – powiedziała, po czym nie czekając, aż będę mógł jej zadać kolejne pytania, wsiadła do auta, zapuściła silnik i odjechała.

Mając nadzieję, że siostra zakonna okaże się bardziej rozmowa, spojrziałem w jej kierunku, ale jedyne, co zobaczyłem, to grube dębowe drzwi klasztoru zamknięte na cztery spusty. Licząc na rychły telefon od Anny Gliwińskiej oraz mając minimalną wiedzę o tym, jak rozpoznać oryginał, zdecydowałem się pojechać pod pierwszy ze wskazanych przez księdza Piwkę adresów.

W mieszkaniu na ulicy Dębowej mieszkała starsza, schorowana kobieta, która dowiedziawszy się, że jestem radiestetą i w ramach obywatelskiego projektu za darmo pomagam mieszkańcom Gdańska znaleźć w ich domach żyły wodne, nie tylko pozwoliła mi rozejrzeć się po mało gustownie urządzonej wnętrze, ale również poczęstowała kawą i świeżo upieczoną drożdżówką. Jej Nepomucen wisiał w sypialni. Po krótkim wykładzie na temat szkodliwości takiego rozwiązania, udało mi się przekonać ją o konieczności przeniesienia go do salonu. Dzięki sile persfrazji oraz pomocy, którą jej zaproponowałem, na własne oczy mogłem przekonać się, że Weronika Mannici mówiła prawdę – z tyłu obrazu znalazłem bowiem namalowane czarną farbą inicjały siostry Łucji.

Niezniechęcony pierwszym niepowodzeniem udałem się pod kolejny adres zanotowany w notesie. Dystyngowany mężczyzna, który mieszkał z rodziną w nowocześnie urządzonej mieszkaniu na gdańskim Przymorzu, nie był jednak w najmniejszym stopniu zainteresowany radiestezją. Na moje szczęście jego żona, jak się okazało, miała odmienne zdanie i po krótkiej dyskusji między małżonkami zostałem wpuszczony do środka. Niestety dla mnie również oni zostali obdarowani kopią.

Kolejny na liście był parterowy dom usytuowany w nadmorskiej części Sopotu. Mimo że w oknie paliło się światło, to właściciel albo nie słyszał dzwonka, albo też uznał, że nie ma ochoty przyjmować gości. Nie zważając na brak

reakcji z jego strony, podszedłem do drzwi i złapałem za klamkę. Ku mojemu zdziwieniu te okazały się otwarte. Wszedłem do środka i gdy już miałem zdradzić swoją obecność, ktoś nagłym szarpnięciem powalił mnie na ziemię. Zaskoczony napaścią, uniosłem dłonie w obronnym geście, ale facet kompletnie nie zrozumiał moich intencji i raz po raz zaczął okładać pięściami moją schorowaną wątrobę. Walczyłem o każdy oddech. Kręciło mi się w głowie, a przed oczyma widziałem mroczki. Gdy minął pierwszy szok, uniosłem kolano i kopnąłem napastnika w brzuch. Gdy ten zgiął się w pół, wyprowadzałem uderzenie w podbródek. Mężczyzna jęknął tylko i z głuchym łoskotem runął na ziemię. Dосkoczyłem do niego i już miałem zadać kolejny cios, gdy spojrzałem na jego twarz. Twarz, którą dawno temu ktoś musiał poharatać tęnym nożem. Twarz, którą doskonale znałem.

– Maślak?! – ryknąłem wściekle, zdając sobie sprawę, że mam przed oczyma kolegę z bidula, chłopaka, z którym niejednokrotnie łądowałem w kozie za złe sprawowanie.

– Ja pierdołę, Filip?! – wychrypiał Janek, spluwając krwią i spoglądając na mnie spode łba. – Filip, kurwa, co ty tu robisz?! Zmienilesz profesję? Zostałeś złodziejem?

Gdy wyjawilem mu prawdziwy cel swojej wizyty, Maślak pokręcił głową w niedowierzaniu i zaprowadził do pokoju, w którym mieszkała jego teściowa. Nadzieja, że trafiłem na oryginał, przysła niczym bańka mydlana, gdy spojrzałem na tył płótna i zobaczyłem na nim inicjały siostry Łucji.

Wściekły i obity jak amatorski bokser po przegranym pojedynku o pas mistrzowski, wróciłem do swojego mieszkania na Żeromskiego i ruszyłem prosto do lodówki. Musiałem znieczulić obitą wątrobę. Pierwsze dwie setki wykręciły mi głębę, natomiast kolejne okazały się istnym błogostawieństwem. Nie zwracając sobie głowy zdejmowaniem ubrania, położyłem się do łóżka i odplynąłem w objęcia Morfeusza. Nie minęła nawet godzina, jak ze snu wyrwał mnie głośny dźwięk telefonu. Sięgnąłem po komórkę leżącą przy łóżku i spojrzałem na kolorowy wyświetlacz. Dzwonił Rosół.

– Czego? – wychrypiałem półprzytomnie.

– Anna Gliwińska, mówi ci coś to nazwisko? – zapytał.

– Moja klientka, czemu pytasz?

– Mąż znalazł ją dziś martwą w mieszkaniu. W nieodebranych połączeniach widniał twój numer. Kiedy do niej dzwoniłeś, to od dobrych dwóch godzin wisiła na sznurze pod sufitem. Cholera jasna. Bojar, ty to masz szczęście. Topielec, wisielec...

– Pierdol się! – warknąłem, odkładając słuchawkę i przerywając tę paskudną wyliczankę. Musiałem pomyśleć. Zapalić i pomyśleć.

* * *

Następny dzień również nie należał do udanych. Nie dość, że męczył mnie gigantyczny kac, to świadomość, że w podejrzanych okolicznościach straciłem kolejnego klienta, również nie napawała optymizmem. Zwlókszy się z łóżka późnym popołudniem, z niemalym wyrzutem spojrzałem na stary zegar stojący na segmencie, który wskazywał piątą po południu. Wszedłem na balkon i sięgnąłem po papierosy. Prócz zgniecionej paczki w kieszeni znajdował się obrazek świętego Nepomucena i notes z adresami. Zostały dwa, których nie zdołałem sprawdzić poprzedniego dnia, a które w ramach pokuty zdecydowałem się jeszcze odwiedzić. Podjąwszy decyzję o kontynuowaniu śledztwa, wrzuciłem peta do plastikowej doniczki, w której jeszcze nie tak dawno kwitły czerwone pelargonie, i ruszyłem na dalsze poszukiwania obrazu.

Pod pierwszym adresem nie zastałem nikogo, a mając w pamięci poprzednie, niezbyt przyjemne doświadczenie, nie próbowałem nawet tupać za kławkę. Na szczęście uprzejma sąsiadka z pierwszego piętra, jedna z tych, które wiedzą wszystko o wszystkich, poinformowała mnie, że Zygmunt Tracz wróci do domu wieczorem. Obecnie miał bawić się na jakimś przyjęciu, jednym z tych, jak się jasno wyraziła, ze śmiesznie małymi kanapeczkami, którymi żaden normalny gość nie zdołałby się najeść.

Kolejna na liście była Monika Król, znana trójmiejska adwokat, której sprawy nieraz komentowane były w ogólnopolskich mediach. Gdy dotarłem pod jej dom, okazało się, że ma gości. Mimo niewątpliwie niesprzyjających rozmowie okoliczności, zdecydowała się poświęcić mi chwilę, oznajmiając wyniośle, że owszem, otrzymała obraz od księdza Piwki, ale w jej domu nie ma miejsca

na sztukę sakralną. Zapytana, co zrobiła z obrazem, odparła, że jeśli konieczne zależy mi na tym, żeby go zobaczyć, to powonieniem udać się w odwiedziny do jej chorej na Alzheimera matki, którą umieściła w ekskluzywnym domu opieki w Wejherowie.

Nie mając innego wyjścia, włączyłem Janosika i wymusiwszy na Rosole informacje o tym, gdzie drogówka ustawiła przenośne radary, wcisnąłem gaz do dechy. Matkę Moniki zastałem w pokoju, który bardziej przypominał salę szpitalną niż ekskluzywną szklarnię, gdzie przechowywano by stare bogate okazy roślin. Co do samej Wiesławy Brzeskiej, to nie odniosłem wrażenia, żeby umysł szwankował jej w jakiś okrutny sposób. Zapytała co prawda, czy nie jestem jej zaginionym w czasie wojny kuzynem, ale gdy zaprzeczyłem i zapytałem o obraz, pokazała mi płótno. Niestety, znów trafiłem na zgnite jajo – zaznaczone ciemnym tuszem inicjały jednoznacznie wskazywały na obraz autorstwa Łucji Mannici.

* * *

Ponieważ istniało już tylko jedno miejsce na ziemi, gdzie miałem szansę odnaleźć oryginał, ponownie udałem się w odwiedziny do Zygmunta Tracza. Tym razem zastałem go w domu. Gdy otworzył mi drzwi w eleganckiej kremowej koszuli i spodniach od garnituru, zdałem sobie sprawę, że poprzedniego dnia bawił się na przyjęciu Moniki Król dokładnie w tym samym stroju.

– Napije się pan kawy? – zapytał, zaciągając się papierosem i zapraszając mnie gestem ręki do środka. – Nawet pan nie wie, jak bardzo się cieszę, że pana widzę.

– Słucham? – spytałem nieco zdezorientowany tą wylewnością, idąc za nim do salonu, w którym znajdowało się chyba z milion obrazów o tematyce sakralnej i w którym trudno było oddychać z powodu aromatu palonego kadzidła.

– Widziałem pana na przyjęciu u Moniki Król – wyjaśnił. – Myślałem, że przyszedł pan dowiedzieć się czegoś o sztuce sakralnej. Jestem jej znawcą. Może nie kończyłem żadnych szkół, ale nawet sama kurator zabytków jest pod wrażeniem mojej ogromnej wiedzy. Myślałem, że odpowiedział pan na zaproszenie, które wystosowałem podczas wczorajszego przyjęcia...

– Niestety – odpartem, podchodząc do ściany i spoglądając na obraz świętego.

– Nepomucen – powiedział Tracz nieco zrezygnowany. – Patron spowiedników, księży i topielców.

– Czy mogę? – spytałem, zdejmując go ze ściany. – Ostatnimi czasy utopił się mój przyjaciel. Jego rodzina pogrążona jest w bólu – improwizowałem, mając na myśli byłą żonę Bronka, która nie mogła przeboleć faktu, że nie otrzyma po nim spadku. – Chętnie podarowałbym im taki obraz.

– Ten, który trzyma pan w rękach, namalowała siostra zakonna. Niestety, jakiś czas temu dobry Bóg odwołał ją do wieczności. Jeśli byłby pan jednak zainteresowany, to poleciłbym panu kontakt z jej siostrzenicą, Weroniką Mannici. Namalowała dla mnie już wiele obrazów o tematyce sakralnej. Czasami malowała je również za siostrę Łucję, kiedy tej doskwierał akurat artretyzm. Proszę mi wierzyć, dziewczyna jest tak dobra, że nie sposób odróżnić ich prac. Szczególnie wtedy, kiedy podpisuje się inicjałami ciotki – powiedział, a ja przekonawszy się, że mam do czynienia z kopią obrazu, poczułem nieodpartą chęć rozmowy z Weroniką Mannici.

* * *

– Nie myślałam, że się jeszcze spotkamy – powiedziała dziewczyna, spoglądając na mnie z zaciekawieniem znad rozłożonej sztalugi. – Czyżby jednak jakiś portrecik chodził panu po głowie?

– Odwiedziłem ostatnio Zygmunta Tracza – odpartem, podchodząc do okna i otwierając je szeroko, gdyż zapach świeżo nałożonej na płótno farby był dla mnie nie do zniesienia.

– Ach, mój stały klient! – powiedziała, marszcząc zgrabny nos. – Już niedługo nie starczy mu miejsca w mieszkaniu, by wieszać kolejne obrazy. Czy pana również męczyły dywagacjami na temat sztuki sakralnej?! Biedaczek, myśli, że ma jakąś wiedzę, a w rzeczywistości nikt nie chce go słuchać... Już nawet konserwator zabytków powiedziała mu kiedyś, że posiada wiedzę, która w Polsce nikogo nie zainteresuje. Poleciła mu jechać do Szwecji. Podobno tam jest ostatnio popyt na sztukę sakralną, ale może tylko tak powiedziała, chcąc

się go wreszcie pozbyć? Niech jedzie! Najlepiej, żeby zabrał się z tą adwokat, co o sztuce ma takie samo pojęcie jak dziwka o celibacie.

– Jeśli mówimy już o Monice, to Tracz mówił, że namalowała pani dla niej reprodukcję świętego Nepomucena.

– No tak, prawda. Jej matka chciała mieć taką samą, a że cioteczka już wtedy nie żyła to namalowałam obraz i podpisałam się jej inicjałami. To chyba nie zbrodnia? – spytała, spoglądając na mnie spod grubych, gęstych rzęs.

Nie odpowiedziałem. Wyszedłem z pracowni i pojechałem odwiedzić panią adwokat. Nie ucieszyła się na mój widok.

– To znowu pan? – spytała, zaciągając się papierosem. – Nie do wiary! Najpierw ten nawiedzony gość, a teraz jeszcze pan... Nie mam czasu. Śpieszę się na prom. Przed chwilą jedna taksówka zabrała moje bagaże, a druga zaraz powinna tu być.

– Wyjeżdża pani?

– A co to za pytanie? Żyję w wolnym kraju, jestem wolnym człowiekiem i wyjeżdżam, ilekroć mam na to ochotę – powiedziała, gasząc papierosa w popielniczce. – A tak w ogóle to po co pan przyszedł?

– Chciałem zobaczyć obraz świętego Nepomucena namalowany przez siostrę Łucję. Ten namalowany przez Weronikę Mannici już widziałem...

– Ależ z pana upierdliwiec! – mruknęła, rozkładając dłonie w geście bezradności. – Jeśli tak bardzo chce go pan zobaczyć, to zapraszam za mną, ale ostrzegam, naprawdę nie mam dużo czasu – powiedziała, prowadząc mnie do jednego z pomieszczeń znajdujących się na piętrze.

Gdy otworzyła drzwi, znaleźliśmy się w niewielkim pokoju, który służył chyba za przechowalnię wszystkiego, czego nie dało się upchnąć gdzieś indziej. Pośrodku pokoju stała przykryta folią bieżnia, natomiast przy oknie znajdowało się drewniane dziecinne łóżeczko. Wszystko, co znajdowało się w pomieszczeniu, pokryte było grubą warstwą kurzu. Obraz świętego Nepomucena stał na podłodze, oparty o framugę okna. Chwyciłem go w dłonie i obróciłem płótno. Do moich nozdrzy doleciała nikła woń farb i ciężki aromat ziół, ale moją uwagę przykuły znajdujące się na płótnie inicjały, które niewątpliwie należały do siostry Łucji.

– Czy teraz mogę już jechać? – spytała Monika Król, wpatrując się we mnie z niecierpliwością.

– Dlaczego wtedy pani skłamała? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– W ostatnich latach angażowanie się w sprawy Kościoła w niektórych kręgach nie jest zbyt dobrze widziane. Nie chwałę się tym. Ksiądz Piwko doskonale mnie rozumie. Wie, że zawsze mu pomogę, ale wie też, że nigdy się do tego publicznie nie przyznam. Przepraszam, że wtedy skłamałam, ale nie mogłam postąpić inaczej. Rozumie pan, walcząca o sprawy kobiet feministka i Kościół... Ktoś mógłby mi to kiedyś wyciągnąć i zrobiłoby się nieprzyjemnie. A teraz bardzo przepraszam, ale muszę już iść. Chcę zdążyć na prom, zanim Zygmunt dorwie mnie przy przejściu granicznym i zacznie kolejny wykład na temat sztuki sakralnej...

– Czy nie będzie miała pani nic przeciwko, jeśli zabiorę się razem z panią? – spytałem, a gdy nie odmówiła, wyjąłem z kieszeni telefon i wysłałem wiadomość do inspektora Rostońskiego.

* * *

– Gdybyś wrócił do firmy, nie musiałbyś dzwonić do mnie za każdym razem, żeby kogoś zapuszkować. A to – mruknął Rosół, bawiąc się blachą, dyn-dającą na srebrnym łańcuszku – otworzyłoby ci wiele drzwi.

– Nie ma mowy – odpartem, uderzając pięścią o drzwi kabiny.

– Policja, proszę otworzyć! – ryknął Rosół, ale odpowiedziała nam jedynie głucha cisza.

Uznawszy, że w kabinie nie ma nikogo, wyszliśmy na górny pokład. Nie chcąc siać paniki wśród zgromadzonych palaczy, ruszyliśmy w kierunku metalowej bariery, przy której stała samotna postać.

– O, pan Bojar, pan też płynie do Szwecji? – Zygmunt Tracz uniósł papierosa do ust i pstryknął zapalniczką.

– Nie, i obawiam się, że tym razem pan również nigdzie nie popłynie, panie Tracz – powiedziałem.

– Nie bardzo rozumiem...

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem morderstwa Anny Gliwińskiej

i kradzieży obrazu świętego Nepomucena – wyrecytował formułkę Rosół, pokazując policyjną odznakę.

– Ja... ja ... chciałem tylko ... – Tracz upuścił na ziemię peta i cofnął się, spoglądając na na mnie z niedowierzaniem. – Skąd pan...

– Zapach kadzidła – odparłem. – To pan jako pierwszy zorientował się, że w katedrze wisi reprodukcja obrazu. A ponieważ Anna Gliwińska, główna konserwator z Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków, nie chciała panu wierzyć, to zwierzył pan świetną okazję, prawda? Miał pan dużo szczęścia. Oryginał trafił do Moniki Król, która nie dość, że nie przywiązuje dużej wagi do sztuki sakralnej, to na dodatek jej dom jest zawsze otwarty dla gości. Łatwo było ukraść obraz. Wystarczyło zniknąć na chwilę podczas jednego z tak licznie urządzanych w jej domu przyjęć. Problem zaczął się, gdy na scenę wkroczyłem ja i zacząłem szukać oryginału. Przypuszczam, że to wtedy postanowił pan podrzucić Monice swój obraz i zabił Annę. Niestety dla pana, zapach kadzidła, którym przesiąknięte jest wszystko w pana mieszkaniu, nie ułatwia się tak szybko, a Monika Król w swoim składziku nie sprząta zbyt często.

– Ja nic panu nie powiem! – wyraźnie zdenerwowany Tarcz spojrzął na nas z obłędem w oczach.

Nie musiał. Wiedział, że mamy wystarczające dowody. Skazali go na dwanaście lat, a święty Nepomucen wrócił w końcu na swoje miejsce w katedrze. Książd Piwko został przeniesiony na wieś. Odchodząc z katedry, wręczył mi kopię obrazu świętego Nepomucena. Dałem ją wdowie po Bronku. W końcu święty Nepomucen to patron topielców.



JULIA PERLIKOWSKA

Tylko nikomu o tym nie mów – teza o umieraniu, samotności i podłości

Julia umarta.

Julia nie żyje i już nic nie jest w stanie tego zmienić. Wszyscy o tym wiedzą. Mimo to nie czuję się winny. Nie kręciłem jej bibutek, nie napychałem ich, nie przygotowywałem prostych kresek, nie kładłem tabletek pod językiem ani nie łądowałem w kanał. Nie wlewałem też po wszystkim alkoholu do ust. Każdy miał swój rozum i tylko od niego zależało, czy do domu wróci na własnych nogach, czy na czworaka. Nie zaciągałem jej siłą na te piątkowe wieczory, chociaż zdarzało mi się po nich ciągnąć ją za włosy. Tylko nikomu o tym nie mów.

A wszystko właściwie zaczęło się i skończyło na tym, że ją kochałem. Cholernie ją kochałem. Kochałem ją tak mocno, że nie wiedziałem, co z tą naszą miłością właściwie zrobić. Ona wyciągała do mnie swoje blade i kruche ręce, a ja z uporem, raz po raz, łądowałem jej każdy palec z osobna. Czasami uczucie jest tak przytłaczające, że nie wiadomo, jak się zachować wobec tego ogromu, który niespodziewanie cię zalewa. Zwykle odwracamy głowy, kierujemy wzrok w inną stronę albo szybkim krokiem skręcamy w boczną uliczkę. Nie dość, że nie tworzymy szans, to nawet nie potrafimy ich wykorzystać. Za to przyzwyczajamy się do bólu gdzieś w okolicach lewej strony klatki piersiowej i godzimy z brakiem tego, czego od tak dawna pragniemy. Przez gardło już nawet nie chcą nam przejść takie słowa jak miłość czy zaufanie. Krztusimy się, próbując je wymówić, jakbyśmy niespodziewanie nabierali wody w usta, a koniec końców jesteśmy w stanie wydusić z siebie tylko jakieś nieskładne

syłaby. Myślę, że większość ludzkich tragedii mogłaby nie mieć miejsca, gdyby człowiek w odpowiednim czasie dostał to, czego potrzebował. Kiedy naprawdę tego potrzebował. I gdyby tylko umiał to docenić, a nie machnąć ręką i przejść dalej. Tonąc znów w oceanie słów, dawno już znoszonych przez codzienne używanie. Ale za to z jaką klasą – złotym zegarkiem na nadgarstku i smolistą aktówką w dłoni, koniecznie skórzaną. Kto wie, czy nie ma w niej cyrografu z czerwoną pieczęcią. Ale nawet taki diabeł, jak ja, przez chwilę mógł być szczęśliwy, piekąc sobie tylko lekko plecy, a nie spalając się do żywego.

Dostałem ją. Julię. Kiedy przymrużę lekko oczy, widzę przed nimi jej twarz. Nie mogę zapomnieć. Nawet nie wiem, czy chcę. Rozumiesz każdy, kurwa, detal. Każdy. Każdy jeden. Pojedynczy pieg na jej twarzy, wgłębienie w policzku czy znamię na ciele. W sumie to chciałbym, żeby mnie to wszystko już nic nie obchodziło. Problem w tym, że kiedy o tym myślę, to ból omiata mnie na wskroś, coraz bardziej zacieśniając pętlę na szyi. Cały czas zastanawiam się, czy gdybym miał nad tym większą kontrolę, wszystko potoczyłoby się inaczej. Lepiej. Prościej. Bo przecież to powinno być proste, prawda? Ty i druga osoba obok, a reszta gdzieś na drugim planie. I co będzie, to będzie. Na obiad risotto z białymi truflami czy pizza odgrzewana drugi dzień w mikrofalówce. Pokój z widokiem na plażę czy mały jak szafa kącik, w którym wmawiamy sobie, że kolejny blok to też widok.

Ale gdybym mógł cofnąć czas, i tak bym nic nie zmienił. Bo mnie zraniła, rozszarpała moje serce na kawałki, zostawiła samego, nie poszła za mną, nie odwróciła się, żeby zobaczyć, co się ze mną dzieje, nie napisała, nie oddzwoniła, nie była. Nigdy jej o tym nie powiedziałem.

Pamiętam, jak kiedyś zapytałem ją, jakie jest najsmutniejsze słowo, jakie zna.

– Zawsze – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Nie, to jest najkrótszy okres, jaki znam. W sumie chodzi o dwa słowa, próbuj dalej – sprostowałem.

– Kocham cię – powiedziała z wyczuwalnym wahaniem w głosie.

– To jest największe kłamstwo, Julia. Chodzi o „przede wszystkim”.

Przede wszystkim – było nam ze sobą dobrze. Przede wszystkim – ja byłem dla niej dobry. I przede wszystkim często się uśmiechała.

Przed wszystkim można było spotkać nas idących za rękę. Przed wszystkim na pierwszy rzut oka można było powiedzieć, że się kochamy. Przed wszystkim mieliśmy gdzie mieszkać, co jeść i w co się ubrać. Ale czujesz, ile jest ukrytej treści w tych dwóch słowach? Ile kłamstw i tajemnic? Ile bólu i niezastuzonego cierpienia? Zapytasz pewnie, co poszło nie tak, skoro tak mi na niej zależało. Ale pomyśl sam, czy kiedykolwiek, kiedy tak bardzo się starateś, cokolwiek poszło tak, jak sobie to zaplanowałeś? Jeśli Twoja odpowiedź jest twierdząca, to naprawdę zazdroścę. Bo ja, niestety, spierdoliłem sprawę. Gruntownie i permanentnie. Mówię śmiertelnie poważnie.

Końca tamtego październikowego dnia nie zapowiadało nic niezwykłego. Wskazówki zegara chodziły miarowo, grunt pod nogami był stabilny, a na niebie żadnych oznak nadchodzącej burzy ani Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Na to trzeba będzie jeszcze poczekać. Tylko powietrze jakby stało się cięższe, a mgła bardziej zagęściła, kiedy nagle spośród jej kłębow wyłoniła się o n a. Poczutem to po rozłupującym moją klatkę piersiową od środka kamieniu. Podeszedłem do okna, mimo że przez myśl szybko przemknęło mi: „Lupus, nie rób jej tego znowu”. Nie byłbym jednak sobą, gdybym postuchał. Tylko czego właściwie miałbym jej już nie robić? Traktowałem ją wyjątkowo pobłaźliwie w stosunku do reszty. Jediną chorobą, jaką na nią zesłałem, była ta wasza ziemiska, destrukcyjna miłość, z której nawet ja nie umiem się wyleczyć. Julia szła w poźótkłych trampkach i z dziurą od papierosa w kurtce, w rozbijających się o betonowy świat kropkach w szaroburej mieścinie. Stawiała powoli kroki na zbyt wysokim krawężniku, a zatrzymała się dopiero przy drewnianym kościółku, do którego przychodziła z matką, kiedy była dzieckiem. Prosiła wtedy, błagała wręcz, o powrót ojca. Bóg nigdy jej nie usłyszał, za to mnie jej szept rozrywał głowę.

Z zadumy wyrwał ją dopiero starszy pan, mieszkający nieopodal wynajmowanego przeze mnie strychu. Poczęstował ją buroszarym dymem, a z tym u niej jak z pacierzem, rzadko odmawiała. Odpaliła zapalniczkę, po czym ponownie obróciła kurs do domu, znajdującego się naprzeciwko mnie, niechętnie każąc jednej nodze podążać konsekwentnie za drugą. Czy jeśli kiedykolwiek powiedziałbym jej, że jest miłość pośród tych brudnych ulic, przepętnionych kałużami łez, to spójrzałyby teraz w moje okno? A jeśli usłyszałyby, że ką

z meblami można nazwać domem, to szybciej by tu wróciła i nie kazała tyle, do cholery, na siebie czekać? Przecież sama dobrze wiedziała, że samotność jest mordercą. Tylko że nigdy wcześniej jej tego nie powiedziałem, a zamiast tego teraz odszedłem od okna i wyszedłem za drzwi. Od nadmiaru świeżego powietrza zawsze kręci mi się w głowie, więc musiałem przytrzymać się metalowej płachty leżącej obok balustrady, co narobiło trochę hałasu. Jak się okazało, wystarczająco. Na dźwięczne echo mojego „kurwa” stanęła jak wryta. Powoli, centymetr po centymetrze, odwróciła głowę w moim kierunku. Jej zimne, wypalone oczy wbijały we mnie niezliczoną ilość tych przygaszonych iskierek, które jeszcze lekko mnie paliły. Nie zmieniając tempa, otworzyła bramę, przeszła przez ganek i stanęła ze mną oko w oko. Ostatnio naszą rozmowę to ona próbowała jak najszybciej zakończyć, dlatego ja nie zamierzałem następnej rozpoczynać. Jednak nie od dziś wiadomo, że im bardziej człowiek nie chce o czymś mówić, tym bardziej go to gryzie. Zjada wręcz od środka. Tworzy ranę szarpaną. Jeśli nie będzie o tym mówił, stanie się topielcem. A ty, Julia, już dawno przede mną wchodziłaś do wody zdecydowanie powyżej kostek, chociaż nie umiałaś pływać.

– To cię przerasta – zaczęła. Ton głosu miała jeszcze chłodniejszy niż ciemne, pochmurne niebo jej oczu.

– Co znowu? – rzuciłem szybko.

– Uczucia. Poświęcenie czegoś dla kogoś. Mniej egoistyczne podejście. Pozbawienie poczucia wielu dostępnych opcji – wylizwała.

Słowa nie boją tylko tego, kto je wypowiada, ale też tego, kto zmuszony jest ich słuchać.

– Myślę, że sama trafisz z powrotem do drzwi – powiedziałem, lekko się cofając. Po czym dodałem: – I pod nie jeszcze raz.

Wtedy rzuciła się na mnie z pięściami i krzyczała coś o egoizmie i skurwysynstwie, zmarnowanych szansach i traktowaniu jak śmiecia. Mało do mnie docierało. Teraz, kiedy o tym myślę, nie umiem złożyć zdań z pojedynczych słów. Ból. Przeszywający. Na wskroś. Jeszcze bardziej. Czuleś kiedyś promieniowanie rozsadzające cię od środka? Mały punkt gdzieś w okolicach lewej strony klatki piersiowej, rozchodzący się na całe ciało, wplątujący w neurony i zaciskający

pluca tak, że ledwo oddychasz. Poczucie winy. Bo mogłem coś zrobić. Ba, nawet całkiem sporo. Ale człowiek taki już jest, że aby zobaczyć coś poza czubkiem własnego nosa, musi dostać od życia po mordzie ze trzy razy i uderzyć plecami o parkiet, a wtedy może i zauważy cię drugiej osoby. Szczególnie że ja radziłem sobie wtedy całkiem nieźle. Brałem swoje demony po trzy za gardło i ciskałem o ściany. Teraz wchodzi do mnie na strych w siódemkę.

Spóźniłem się jakieś kilkanaście jej przeptakanych nocy, zapuchniętych oczu i roztrzepanych włosów. Kilkanaście wiadomości, których nie wysłała, telefonów, których nie wykonała, oraz kilkanaście paczek chusteczek, które miała przy sobie. Spóźniłem się o jeden wieczór. Miniony wieczór. Wieczór, w który Julia postanowiła skończyć swoje kilkunastoletnie niesienie krzyża. Teraz tylko musiała wcielić plan w życie. A ja przecież naprawdę chciałem z nią spędzić jak najwięcej czasu i brnąłem w to, brnąłem, dopóki nie zatrzymał mnie pierwszy mur. I ty pewnie też tak kiedyś robiłeś. Ale tych murów na drodze zwykle, w najlepszym wypadku, stoi tylko kilka. Nie idzie ich obejść czy przeskoczyć. Musisz je unicestwić. Jednak czasami potykasz się nawet o odtamki muru, który zdążyłeś już zburzyć. Dla mnie też było to ciężkie, słowo. Przy ostatnim mogłem już tylko uderzać o niego głową.

Przed moimi drzwiami tamtego październikowego wieczora odsunęła się ode mnie i pobiegła wprost przed siebie. Na ulicy zatrzymało się kilku przechodniów, obarczających mnie zawiedzionymi spojrzeniami. Może oni już wtedy wiedzieli. Ich wzrok był najcięższym, co miałem wówczas na sobie. Jakoś nie bardzo się tym wtedy przejmowałem. I tak wszyscy tutaj są tacy sami. Mają ten sam beznamiętny wyraz twarzy, tę samą gnijącą pustkę w oczach. A ja chciałem po prostu przeczekać tę noc. Zachlać. Zajarać. Zapomnieć. Kolejność dowolna.

Rzecz w tym, że nie wiedziałem, że kilka godzin wcześniej wysiadła na peronie znajdującym się piętnaście minut spacerem od bramy, pod którą ją wtedy wystawiałem. Siedziała na ławce, dłonią schowaną w rękawiczkę ścisnęła bilet, a drugą trzymała kubek z gorącą kawą. W jej głowie pojawiła się szybka myśl – mogła wybrać dwie zamiast trzech łyżek cukru, ponieważ z nerwów i tak ją mdli. Ze schodów prowadzących na peron wyłoniły się dwie postaci – matka

z dzieckiem. Dziecko jakby trochę przestraszone, z za dużą czapką naciągniętą mocno na uszy i szalikiem zakrywającym mu pół nosa. Chłopiec ciągnął matkę za rękaw płaszczka i wyraźnie domagał się odpowiedzi na wcześniej zadane pytanie. Kobieta, już na skraju pokładów cierpliwości, tylko przewróciła oczami. Synek zaczął popłakiwać, pociągać nosem, a minę miał stanowczo nie za ciekawą. Matka, chcąc skończyć to przedstawienie, odpowiedziała w końcu: – Bo tak i już. – Mały, wyraźnie niezadowolony z odpowiedzi, naskoczył jej nagle na stopę i krzyknął tak, że zagłuszył nawet komunikat o nadjeżdżającym pociągu. Matka z twarzą pokrytą czerwonymi wypiekami szarpnęła go mocno za szalik, tak że chłopiec w chwilę znalazł się przy jej nodze z uniesionymi brwiami i szeroko otwartymi oczami. Kobieta zaczęła krzyczeć, że jest niegrzecznym dzieckiem, i zapytała, czemu to zrobił. Mężczyzna obserwujący wszystko z boku odpowiedział za dzieciaka: – Bo tak i już – po czym puścił jej oko. Julia uśmiechnęła się pod nosem, dopiła kawę i do kosza obok wyrzuciła kubek z napisem „enjoy”. Był to być może jej ostatni uśmiech, ale przynajmniej wiedziała już, że nie musi się nikomu tłumaczyć, robi to, bo „tak”. I już.

Wstała z ławki i ruszyła przed siebie. Była gotowa zmierzyć się znowu ze starymi wspomnieniami. Po drodze mijają zapyziały pub, a ponieważ nic nie jadła od trzech dni, a w ostatnim czasie niewiele, postanowiła zjeść swój ostatni posiłek właśnie w tej przystani spragnionych ukojenia dusz i goryczy gardła.

Pamiętam, że już wcześniej, kiedy chciałem zbliżyć do niej swoje ciało, ocierałem się o wystające kości biodrowe, a zamiast odliczać czas do naszego kolejnego spotkania, mogłem policzyć pojedyncze żebra, które wystawały jej już nie tylko, kiedy nabierała oddech w swoje szerniałe płuca. Pamiętam, jak chowała do wewnętrznej kieszeni kurtki, z którą się nie rozstawała, tej samej, o której już wspominałem wcześniej, pozwalające jej złapać oddech czasowypełniacze.

Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem dostarczyła organizmowi tyle energii. Ale żeby podjąć taką decyzję, a co dopiero ją zrealizować, potrzeba tytanicznych pokładów. Zbierała więc siły na kolejny dzień.

Jednak następnego dnia niebo nadal pozostawało bezchmurne, a jeśli spotkałbyś ją w ciągu ostatnich godzin jej życia, pewnie nie zaniepokoiłoby cię

i nie uderzyło w jej zachowaniu nic niezwykłego. Wstała wcześniej rano, jak to miała w zwyczaju. Obok niej leżało wygniecione łóżko, ale tylko z jednej strony, z tej, na której śnił jej się koszmary. I na której wcześniej uosabiała się w mojej osobie.

Wstała i dopisała ostatni rozdział powieści, którą miała oddać redakcji w przyszłym tygodniu. Zrobi to za nią matka. Pomyślała, że może jej decyzja jest nawet właściwa, biorąc pod uwagę, że tragicznie kończący autorzy są zwykle bardziej poczytni.

Założywszy na zgarbiony kark pierwszy sweter wyciągnięty z szafy i przetarte dzinsy, wyszła z domu. Ostatni raz udając się po schodach na ganek, odwróciła głowę i spojrzała na ostoję, a zarazem warowną twierdzę demonów, z którymi przyszło jej żyć. Nadal patrzyła na oddalający się dom i zrobiła kilka kroków w tył, potykając się o krawężnik przy ulicy. Nadjeżdżający z lewej samochód ledwo zdążył ją ominąć. Na szczęście czujny kierowca w ostatniej chwili obrócił kierownicę bardziej w bok, a gaz wcisnął bardziej w dół, co pozwoliło płynnym ruchem objechać jej drobne ciało, rozbite o zimny asfalt. Nie lubiła, kiedy ktoś ją wyręczał. Wytarta lekko krwawiące dłonie o spodnie i wstała. Widziałem to wszystko z okna, a że minę, nawet po upadku, miała jakoś dziwnie zdeterminowaną, postanowiłem ruszyć za nią.

Wartkim krokiem udała się w stronę plaży, by wejść na nią przez otaczający płot i zatopić się w buroszarej mgle, lądując lekko na złotym, połyskującym w niej piasku. Schyliła się i nabrała go w dłoń, przesypując między palcami. Czowała szorstki pył, wbijając się bezlitośnie w jeszcze świeże rany. Niby bolało, ale mogła skupić wtedy myśli przez chwilę na czymś innym. Nie mogła teraz zrezygnować. Podeszła powoli do morza, najpierw wpatrując się w widnokrag, a później opuszczając głowę i klękając przed nim, jakby błagając o ratunek. Może nawet coś szeptała, ale nie mogłem tego usłyszeć. A może mogłem, tylko byłem głuchy na ten niemy krzyk? Widziałem, że położyła rękę na mokrym piasku i przejechała po nim palcami, żegnając się ze spokojnym gruntem pod jej nogami. Uderzające o głowę myśli szumiały bez ustanku, tak jak fale odbijające się szorstko od brzegu. Cholera, przecież wiedziałem, co się święci. Widziałem ją. Stałem za tym płotem, przyglądając się ślepo

czerwieni jej przemarzniętych policzków i dłoni, w których nadal obracała złote drobinki, rozdrażniając tym samym rany. Julia, przemyśl to. Ale decyzja została już podjęta, karty rzucone na stół, a pierwszy krok zaraz miał zostać wykonany. Widziałem ją, czułem niewysłowioną pustkę w niej i bezlitosne oczekiwanie nieba nad nią. Z daleka dogorywał dźwięk muzyki z jakiegoś dance baru, aby ponownie uderzyć z całą mocą wieczorem, budząc ze snu nawet umarłych. Otchłań żywiołu przytłaczała, a do walki z nim stanęła uparcie tylko nadmorska latarnia, rozpraszająca półmrok i dająca oparcie zagubionym podróżnikom, ułatwiająca dostanie się na ląd. Może Julia jej nie zauważyła. Zamiast tego wstała, cofnęła się kilka kroków i zaczęła biec.

Widziałem ją. Czułem na karku jej płytki, nierówny oddech, odbijający się głuchym echem na opustoszałej plaży. Nikt na niego nie odpowiedział. Nie mógł. Nie dała im szansy. Ja odpląciłem się jej tym samym, nie zatrzymując jej, kiedy wstała i zaczęła biec prosto na drewniany most przed sobą. Kiedy była już blisko niego, przeszedłem przez płot, podążając powoli jej śladem. Kurwa, co ja robię. A właściwie – czego nie robię. Przyspieszyłem. Zaczęłem biec za nią, odbijając się po śladach jej obolałych od drogi stóp, wpadając z impetem na drewniany most, wyciągając przed siebie rękę, chcąc mocno złapać ją za sweter i nie dać upaść. Ale ona już nie poczuła mojej zimnej ręki na swoich smaganych dreszczami plecach. Było za późno. Skoczyłem za nią, ale próbując złapać cokolwiek pod wodą na osłep, nie mogłem złapać nic. Zanurzyłem się i zobaczyłem, jak pozwala, żeby jej ciało powoli zbliżało się do dna. Już nie walczy. Kiedy mnie mógłby przygnieść ciężar i tak wątpliwego sumienia, ją przygniótł ciężar jej uderzającego rytmicznie ogromnego serca. Za nią ciągnęła się jeszcze lekka strużka krwi, z ręki, którą w końcu uniosła do góry, jakby chciała, żeby jednak pociągnąć ją w górę i uratować od niej samej. Ostatnie dechy życia wydobywały się z jej sinych ust, oczy miała szeroko otwarte, dotarła do niej nieodwracalność tej decyzji. Poptynałem do niej i chwytając mocno w przegubach, wyciągnąłem na most.

– Julia, nie! Proszę, obudź się! – krzychałem bezsilnie, uderzając ją lekko po policzkach. – Julia, nie rób mi tego – byłem w stanie już tylko szeptać dalej.

To ty jej to zrobiesz – zahuczało mi w głowie z mocą dzwonu, odbijającego się raz po raz w zimnej wieży, dającego znak, że już czas. Schyliłem się do niej, aby pocałować ją po raz ostatni, ale zamiast życiodajnego wdechu, wyciągnąłem z niej resztki życia, kładąc na jej ustach pocałunek śmierci.

Wraz z umierającym porankiem, swoje życie zakończyła jedna z najbardziej rozjaśniających go dusz. Razem ze wschodzącym słońcem na jej oczach pojawiła się mgła. Ostatnie próby wyszarpania ze świata resztek życia nie trwały długo. Słońce zaczęło już odbijać swoje czerwone oblicze w wodzie, a ona cała zdawała się jednym wielkim morzem krwi, jeszcze nie tak dawno sączącej się ze świeżej rany, aby zaraz znów przybrać przejrzystą barwę, tak jakby łzy miały oczyścić toń bezkresu z niezastężonej śmierci. Zaczął padać deszcz, kiedy wstałem i oddałem jej ciało wodzie, pozwalając zabrać to, co już do niej należało, a co do mnie nie będzie już nigdy.

Nikomu o tym nie mów, ale może gdybym pobiegł szybciej, zdążyłbym ją uratować. Istnieje szansa, że gdybym od razu zanurkował, a nie rozszarpywał wodę, ślepo rzucając rękoma, zdążyłbym przed jej opadającym ciałem. A może ja po prostu nie chciałem tego zrobić. Może natury nie da się oszukać. Może nie należy przeszkadzać komuś, kto już podjął nieodwracalną decyzję niebytu. A może po prostu to moja wina? Ale wtedy naprawdę nie możesz nikomu o tym powiedzieć. Gdzieś, kiedyś słyszałem, że tak ogromnej tajemnicy można dochować tylko wtedy, kiedy jedna z osób nie żyje. O to już nie muszę się martwić. Julia na pewno nikomu o tym nie powie. Chociaż wszyscy powinni się dowiedzieć.



HANNA PIWOWARSKA

Tylko na chwilę...

Podbiegła do drzwi, wspięła się na palcach, szybko chwyciła za klamkę, szarpnęła i bez namysłu wbiegła do środka. Dopiero gdy się rozejrzała, zauważyła, że nie jest w swoim domu. Chciała się wycofać, więc energicznie się odwróciła i wpadła wprost na kobietę, która niespodziewanie wyrosła przed drzwiami prowadzącymi na zewnątrz. Uśmiechała się do niej i zaprosiła do środka.

Niania tłumaczyła policjantowi, że straciła dziewczynkę z oczu tylko na chwilę, gdy weszła do domu, żeby odebrać telefon. Poszukiwania trwające kilka dni nic nie dały. Przeczesano okolicę, pytano sąsiadów o jakiegokolwiek informacje, które mogłyby naprowadzić na trop. Czas działał na niekorzyść. Nikt nie zadzwonił z żądaniem okupu ani z jakąkolwiek wartościową wskazówką.

Ojciec Halinki coraz częściej zanieczyliwał prowadzenie zakładu szewskiego, tłumił alkoholem swoje emocje. Któregoś dnia zobaczył dziewczynkę przypominającą jego własną córkę. Różniła się od niej tym, że miała czarne włosy, umorusaną twarz i była chudziutka. Poszedł za nią. Nie namyślając się, wszedł za nią do środka budynku szeregowego, podobnego do ich własnego. W korytarzu zaskoczył go mrok, który zamiast zelceć, zamienił się w zupełną ciemność na skutek nagłego ciosu w głowę.

Nie wiedział, że jego córka przebywała tak naprawdę w pobliżu. Była przetrzymywana przez kobietę, która sama straciła swoje dziecko i postanowiła zastąpić je porwanym. Tak długo przekonywała trzyletnią Halinkę, że jest jej matką, że dziewczynka wyparła wszelkie wspomnienia. Aby nikt się nie

zorientował, porywaczka pofarbowała jej włosy i przez wiele miesięcy nie wypuszczała z domu. Nadała jej imię swej córki – Jadwiga. Gdy zwracała się do niej przy ludziach, nazywała ją Jadwinią. A gdy się na nią złościła, wołała przez cały dom: – Jaga!

Sprawiła wrażenie miłej osoby. Jednak nawet gdy się uśmiechała, jej oczy pozostawały zimne. Często przepytowała, z kim i o czym Jadwiga rozmawiała, żeby upewnić się, że dziewczynka niczym się nie zdradzi. Uczyła ją każdego dnia, jak uważać na to, co mówi. Twierdziła, że najlepiej w ogóle nie opowiadać o tym, co dzieje się w ich domu.

Dla Jadwigi widok krwawiącej głowy leżącego na ziemi mężczyzny zatrzymał czas. Z przerażeniem przeniosta wzrok na matkę. Chciała uciec na ulicę, ale silny ucisk zatrzymał ją w progu. Szarpała się, wrywała. Nic to nie dało. Była za słaba. O tym też nie można było mówić.

Wtedy zamknęła się w sobie jeszcze bardziej. Znała już konsekwencje braku lojalności wobec matki. Zapamiętała, jak ostry bywa ból po uderzeniach. W jej pamięci pozostał też widok w lustrze, gdy z nosa kapie krew, a wokół wykwitają siniaki. Z czasem matka zastąpiła bicie i szarpanie ciosami ze słów. Nie było śladów na ciele, obolałych miejsc. Bez skutku pozostawały próby obrony, prośby, przepraszanie, wzbudzanie litości. Nie miała dokąd uciec. Drzwi i okna były szczelnie zamykane, gdy po raz kolejny musiały zaptać za to, co robi, myśli i jaka jest. Nie miała prawa czuć się szczęśliwa. Żadna logika nie obejmowała procesu niszczenia jej i konsekwencji ataków. Bała się, bywała przerażona. Serce waliło jak oszalałe. Odczuwała przykry ucisk w klatce piersiowej. Nie było bezpiecznej pory dnia, nocy ani miejsca, gdzie nic by jej nie groziło. Zdarzały się okresy, jakby wydany na nią wyrok pozostawał w zawieszeniu. Wtedy czerpała z każdego takiego dnia tyle, ile tylko mogła.

Jej świat z czasem ograniczył się do małej przestrzeni i ścieżek, którymi mogła przemykać. Jej otoczenie coraz bardziej przypominało wielkie ściany z namalowanymi pejzażami, budynkami, wnętrzami i ludźmi. Coraz mniej mogła dotknąć, poczuć, zobaczyć z bliska. Zapadała się, zamykała, uciekała w głąb siebie.

Ale zazwyczaj przychodzi moment, gdy sprawy głęboko skrywane przez lata wypluwają na światło dzienne. Ile uporu musiała wykazać? Jak mocno się ośmieszyć? Jej emocje wybuchły. Wykrzyczała głośnie „nie!”, donośnie, którego nie dało się już niczym zagłuszyć, opanować. Sekrety wyszły na jaw.

Pewnej nocy miała dziwny sen. Że rodzi się wciąż na nowo. Że gdy umiera, to przechodzi wśród mgły przez półwysep i rodzi się ponownie. Pojawiała się wtedy w różnych miejscach świata. Jej życie kończyło się niekiedy tuż po narodzinach. Bywały i takie wcielenia, gdy miała dużo szczęścia, bo zapewniały jej poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Obudziła się i pomyślała, że pora zakończyć nieznośne cierpienie. Mocno nacisnęła klamkę i wyszła na zewnątrz. Planowała popełnić samobójstwo. W okamgnieniu zmieniła zdanie, gdy usłyszała za sobą wotanie matki. Stwierdziła, że już więcej jej nie ulegnie. I zamiast wrócić tak jak zawsze, zaczęła biec przed siebie. Potykała się przy tym, ale nie przewróciła ani razu. Odwracała się nerwowo, jednak nie widziała matki za sobą. Bieg zamieniła na chód, bo trudno jej było złapać oddech. Na przejściu dla pieszych sygnalizator zmienił barwę na zieloną. Weszła szybko na pasy. Nie spostrzegła samochodu. Kierowca na czerwonym świetle gwałtownie skręcił w drogę, przez którą przechodziła. W ostatnim momencie kątem oka zauważyła matkę. To nie mogło być prawdą! Jak ją dogoniła? Chwilę później straciła przytomność. Karetka przyjechała po czterech minutach od wypadku.

Wśród obserwujących znalazł się detektyw policji w ubraniu cywilnym. Już od pewnego czasu jego jednostka pracowała nad dawną sprawą zaginięcia mężczyzny. Ze względu na nowe możliwości techniczne policjanci z krakowskiego „Archiwum X” systematycznie analizowali poszlaki. Zdecydowali się sprawdzić teren posesji, gdzie ostatnio widziano ojca wtedy małej jeszcze Halinki. Pozyskano odpowiednią zgodę przełożonych. Pościg właścicielki posesji za nastolatką wzbudził szczególny niepokój śledczego. Postanowił przyspieszyć akcję przeszukania działki, w tym pod fundamentami budynku.

Już dwie godziny po dziwnym zajściu zadzwonił do drzwi domu szeregowego. Otworzyła je uśmiechnięta kobieta. Próbował zajrzeć do środka, ale prawie całą przestrzeń wejścia zajmowała jej postać. Pokazał zatem dokumenty i nakaz przeszukania, czym wzbudził zdziwienie i gniew, ale maskowany

chłodem. Próbowła przekonywać, że ona nic nie wie i pewnie zaszła pomyłka. Nie było to dla niego ważne. Przekazał polecenia swoim podwładnym. Postanowił wejść do środka. Kobieta próbowała uniemożliwić mu przejście przez próg. Spytała po raz kolejny, czy to naprawdę konieczne, bo musi zaraz pilnie wyjść z domu. Zignorował tłumaczenia i chwytając z wprawą barki, zablokował jej ruch. Po czym wszedł do przedpokoju.

Poszukiwania zakończyły się sukcesem. Przydał się wynajęty georadar, dzięki któremu odnaleziono miejsce w piwnicy, pod wylewką, gdzie z dużym prawdopodobieństwem mogły znajdować się szczątki ludzkie. Po wykonaniu badań geofizycznych przystąpiono do prospekcji, a następnie wydobywania zwłok. Wykonano szereg badań DNA. Ekspertyza potwierdziła przypuszczenia śledczych. Szczątki należały do mężczyzny zaginionego przed kilkunastoma laty. Co zaskoczyło wszystkich, analiza materiału genetycznego wskazała na bliskie pokrewieństwo dziewczyny i mężczyzny – w pierwszej linii, czyli była jego córką, Haliną; zaś wykluczyła, że kobieta jest jej matką, jak podawała przez wiele lat. Odzyskana dla rodziny Halina nabierała sił po zabiegu medycznym. Miała wsparcie specjalistów.



ANNA SCHMIDT

Za dużo nieba

Obudziłem się dokładnie o świcie, za wcześnie, choć może tak naprawdę za późno. Wyrzałem przez okno i spojrzałem w niebo, szkliste, blad różowe, ciche, tak potwornie ciche. Ty jesteś mną, a ja tobą, powiedziałem do niego, jak mawiam co rano, a ono jak zwykle nie odpowiadało, lecz wierzę, że pewnego dnia odpowie. A milcz sobie, milcz, przekłete! Krzyknąłem i pogroziłem mu zaciśniętą pięścią, a moje słowa odbiły się martwym echem po pustych czterech ścianach. Następnie chwyciłem przygotowaną uprzednio długą plastikową słomkę i z poczuciem zwycięstwa wypitem duszkiem przynajmniej litr tej niebieskości porannej świeżej i cichej, która wypełniła mnie po brzegi, i dopiero wtedy poczułem, że mogę zacząć dzień, a nic nie wskazywało, że dzień ten będzie w jakikolwiek sposób szczególny. Dlaczego miałby być? Moje znudzone własną monotonią życie księgowego nie obfitowało raczej w niespodzianki.

Wzdychając ciężko, sennie, zszedłem do kuchni zaparzyć gęstą czarną kawę. Kiedy chwyciłem za czajnik, zawładnęło mną ledwo uchwytnie, przerażające przeczucie, które wszyscy zapewne znacie, a które na szczęście pojawia się głównie w snach, przeczucie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Mniej lub bardziej przebudzona świadomość, zarejestrowała lekkie odchylenie od normy, i natychmiast zaczęła tykać, syczeć, kręcić się niespokojnie po swoich zagmatwanych korytarzach. Rozejrzałem się ukradkiem wokół. Wszystko stało na swoim miejscu, w domu byłem sam, odgłosy te same, co zwykle, za oknem spokój jesiennego świtu. Zamknąłem oczy, żeby lepiej zrozumieć to, czego

nie dało się zobaczyć, i wtedy dopiero poczułem w dłoni dziwną miękkość, delikatność, w zetknięciu z którą chropowaty uchwyt czajnika kłuł i wbijał się w zakamarki skóry. Peten nieufności i najgorszych przeczuc uchyliłem jedną powiekę, spojrzałem w dół i zamarłem. Otóż dłoń, którą ujrzałem, nie była moja, nie wiem, jak to wyjaśnić, bo przecież nadal stanowiła naturalne przedłużenie mojego ciała, jednak poza tym wszystko w niej było obce. Zamiast mojej szorstkiej, owłosionej, masywnej męskiej dłoni miałem rączkę drobną, gładką, o długich, nieznacznie smukłych palcach. Ciężko powiedzieć, czy była to rączka kobieca, bo równie dobrze mogła należeć do mężczyzny, takiego, który od dzieciństwa gra na pianinie, nigdy nie przeklina, nie pije i po kryjomu przegląda kobiece magazyny kulinarne.

Mógłbym się wściec, zemdleć albo z przerażeniem wrócić do łóżka, licząc na to, że kiedy wstanę z niego ponownie za kilka godzin, po ręce nie będzie już śladu. O nie, powiedziałem sam do siebie, przeczuwając w powietrzu spisek. Nie dam się wciągnąć w te gierki, w te harce i psikusy! Po czym wbiłem zabójczy wzrok w niebo i ponownie pogroziłem mu pięścią. Ze mną tak łatwo nie wygrasz! Powziąłem silne postanowienie, że zającie to, jakkolwiek dziwne i niewytłumaczalne, w żaden sposób nie wpłynie na mnie i bieg mojego dnia. Niewzruszenie przygotowałem kawę, zasiadłem do komputera, żeby jak zwykle zacząć dzień od przejrzenia wiadomości z kraju i świata oraz zadań na dany dzień. I wtedy stała się kolejna rzecz absurdalna i niezwykle irytująca, mianowicie moja ręka prawa, czyli ta nowa, delikatna, wroga i paskudna, zaczęła odmawiać posłuszeństwa i kiedy chciałem otworzyć stronę mojej ulubionej gazety, nie mogłem, a zamiast tego, mimowolnie, wpisałem stronę z horoskopami. Dzisiejsze całkowite zaćmienie księżyca może całkowicie odmienić twoje życie... Już chciałem czytać dalej, nawet wydało mi się to ciekawe, ale nie, nie, co za bzdury, wykrzyknąłem w zacieśniającą się wokół mnie pustkę i znów nikt nie odpowiedział. Zdecydowanym kliknięciem zamknąłem horoskopy. Nie dam się przechytryć, pomyślałem, mam jeszcze drugą rękę, posłuszną, starą, szorstką i choć szło mi to o wiele wolniej, wklepałem adres gazety dłonią lewą, prawą zaś rękę ignorowałem, tylko od czasu do czasu rzucając jej nieprzychylnie spojrzenie.

Pisanie listy zadań również szło niezwykle opornie. Chciałem napisać: rozliczenie podatków, a zamiast tego wyszło: kupić kwiaty, więc ja twardo, litera po literze, wszystko lewą, gorszą, wolniejszą, resztkami woli brnąłem do przodu przez gęste opary absurdu. Nie dam się, pomrukiwałem, zerkając od czasu do czasu na szare bezlitosne niebo, na którym ciemne jesienne chmury przesuwały się jedna za drugą, obojętne na mój los. Ach, bądź sobie szare, a nawet czarne, milcz, ile chcesz, nic mnie to nie obchodzi, krzyknąłem, po czym wróciłem do pilnego wystukiwania liter.

Następnie, z nadymającą się groźnie determinacją, wyciągnąłem wielkie i ciężkie jak mój codzienny smutek księgi rozliczeń, rachunków, przychodów, rozchodów i innych spraw nieskończenie nudnych i niezaskakujących, z którymi nikt nie chce mieć do czynienia i dlatego spycha je na ludzi takich jak ja, bezbronych, zagubionych księgowych. Wstrzymując oddech, zasiadłem do ksiąg, a roboty miałem dużo, i to roboty naglącej, pilnej, bo z jutrem zbliżał się dzień ważny i podniosły, Wielki Dzień Rozrachunku Wszelkiego. Nie kochałem swojej pracy, była tak sucha, że powoli usychała od niej moja wyobraźnia, ale przecież praca nie jest od tego, żeby ją kochać, ona po prostu jest i trzeba ją robić, nie zastanawiać się, tak przynajmniej mnie nauczono i tego się trzymam.

Pełen najgorszych przeczuć i podejrzeń włożyłem w rączkę długopis i zabrałem się do moich niekończących się liczb, tabel, kalkulatorów i procentów, liczenia, podliczania. Tymczasem ręka zamiast cyfr rysuje kwiatki, dziecinne uśmiechy, słońca, domki i do tego na księgach moich ważnych jakieś bazgroły babskie, drzewa, kotki, rozszalała się, aż nie mogłem jej zatrzymać. Już czułem te pieniające się w środku fale złości rozbryzgującej się o brzegi mojej wytrzymałości, ale myślę sobie: nie, o nie, nie wytrącisz mnie z równowagi, nie ulegnę tej presji wrogiej i podstępnej, kryjącej się za pozorem delikatności i powabu. Nie ze mną te gierki! Jestem człowiekiem dorosłym i poważnym, nie będę się bawił w jakieś dziecinne przebieranki i głupoty. Zacisnąwszy mocno zęby, zdecydowanie chwyciłem rączkę lewą ręką i starałem się zmusić ją do pisania cyfr. Nie było to łatwe, bo mimo całej swojej okropnej łagodności sił miała więcej ode mnie i nie pozwalała sobą pokierować. Po długich, wyczerpujących zmaganiach, zlany potem, nakreśliłem w księdze

koślawą trójkę, która równie dobrze mogłaby być piątką. A więc lewą, będę pisał lewą, postanowiłem, ale cyfry stawiałem krzywe, pokraczne jak u ucznia z pierwszej klasy szkoły podstawowej, nie, nie, tak być nie może!

Przeklinając po cichu, tak, żeby nikt nie słyszał, balansując na skraju czarnych czeluści złości i rozpaczy, wstałem, otworzyłem okno i zaczerpnąłem świeżego, zimnego powietrza.

Niebo czekało, niebezpiecznie niskie, bezduszne i niewzruszone jak zawsze. A jednak, w tej jednej krótkiej chwili poczułem, że jestem mu nieskończenie wdzięczny za to, że jest i czeka. Czy czekało na mnie? Zapomniałem o ręce, rachunkach, tylko stałem i patrzyłem w niebo, oniemiały, wstrząśnięty jego rozmiarem, zupełnie jakbym zobaczył je po raz pierwszy. I nagle zrozumiałem coś, co pewnie powinienem był zrozumieć już dawno, że niebo jest mi równie potrzebne jak woda czy powietrze, bez niego nie mógłbym żyć, a człowiek żyjący z dala od nieba, niepatrzący w nie, powoli umiera, choć nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Już chciałem napić się go znów, jak robię zawsze, kiedy tracę równowagę, a zaborcza, zachłanna suchość mojej pracy uprowadza mnie, aby chwilę później porzucić, wysuszonego, spragnionego, na skraju poczytalności. Lecz wtedy zakiełkowała we mnie myśl małańka, drobna, przeraźliwie świdrująca i jaskrawa, że to nie ja, ale ktoś inny, ktoś, kto od dawna mieszka we mnie, domaga się codziennych litrów nieba i to domaga się ich tak kategorycznie, że nie potrafię mu odmówić. Spojrzałem na rękę. Leżała niewinnie na parapecie, typiąc na mnie przesadną łagodnością i urokiem. W pewnej chwili jej smukłe gładkie palce zaczęły poruszać się niespokojnie i już chciała sięgnąć po słomkę, ale ostatnim skrawkiem przytomności powstrzymałem ją. Nie, nie, lepiej nie pić już więcej.

A czemu nie, napij się, oderwij na chwilę od rachunków, rozliczeń, jutro też jest dzień, oderwij się od tej roboty niewdzięcznej, która niszczy cię i pożera od środka.

Nie, krzyknąłem przerażony gmatwaniną otaczającego mnie podstępu. Podstęp! To wszystko podstęp – i ona, i niebo, wszyscy sprzymierzyliście się przeciwko mnie!

Niebo milczało. Ach, milcz sobie, ja i tak wiem, że to twoja sprawka! Wziętem tyka wody, dwa głębokie oddechy i postanowiłem, że wyjdę na pocztę wysłać listy, w tym mi ręka nie przeszkodzi.

Wpadłem prosto w zimne szare jesienne powietrze, które teraz wydało mi się tak wspaniale znajome, a jego szarość potykałem łapczywie, czułem, jak zapetnia najodleglejsze zakamarki ciała, przynosząc cudowne zapomnienie, zapomnienie o sobie, o wszystkim, co wydarzyło się przed chwilą, pozostało tylko zlewanie się z szarością, stawanie się niczym, nikim, tak miłe, tak nie-skończenie miłe. Rączki postanowiłem nie chować, nie zakrywać rękawiczką, nie będę robił żadnych cyrków, niech sobie będzie, jaka jest, niech się gapi na mnie tym swoim powabem nieznośnym i podstępny. Doszedłem na pocztę i już miałem otworzyć drzwi, kiedy rączka niespodziewanie zmieniła kierunek i chlast! uderzyła mnie z całej siły w twarz, tak że omal nie upadłem na ziemię. Aż ty jedna, mówię do niej i drugą ręką za klamkę sięgam, a ona znów chlast mnie po twarzy z całej siły. Chciałem złapać ją i wykręcić, związać, żeby raz na zawsze dała mi spokój, ale ludzie na ulicy zaczęli się oglądać, przystawać, zerkać na mnie podejrzenie, co gorsza z litością, a że litości nie zniosę, dałem spokój i ruszyłem dalej przed siebie. A nieście mnie, nogi, gdzie chcecie, myślałem, po cichu knując plan, tajemny plan obezwładnienia mojej wroziej dłoni. Gdzieś na dnie, w szlamie świadomości, lęły się myśli okropne, brzydkie, żeby związać, zakneblować, a jeśli i to nie pomoże, odciąć, odpiłować, wyrzucić na śmietnik. Ale nie, opanuj się, mówię do siebie, dajesz się ponieść, zmanipulować, najlepiej nie reaguj, zachowaj spokój. Wziętem kolejny duży, zachłanny łyk powietrza, który wlał nieco spokoju w moje szamoczące się rozważania i szedłem dalej. Przed siebie, przed siebie! Nieście mnie, nogi moje długie, chude i postuszne.

A więc szedłem, chociaż nie wiedziałem już, czy idę przed siebie, czy może obok siebie, a z każdym kolejnym krokiem coraz ciężiej mi się szło. Mijałem smutnych, przygarbionych przechodniów, pochylone domy i drzewa, niezliczone twarze, zbyt wiele twarzy, mijałem dzieci, skulone koty, przywiedle przydomowe ogródki i roztrzęsione od wiatru pranie. Gdy tak brnąłem strudzony przez ulice miasta, nagle objawił mi się dotkliwy, niemal bolesny urok

wszystkiego, co widziałem, i ogarnęła mnie nieodparta chęć, aby wtulić się w miękkie futerko kota, który przysiadł na werandzie, i uśmiechnąć się do dziecka bawiącego się wesoto przed domem. Nawet ludzie, ci szarzy, smutni ludzie z mojej dzielnicy, nagle i w nich dostrzegłem dobro, samo dobro, i zrobiło mi się ich żal, tak nieznośnie żal, że aż niedobrze, aż mnie wszystko mdliło. Gdzie się podziła moja oschłość, moje niewzruszenie? W życiu trzeba być twardym i nie można się rozczulać, zawsze to sobie powtarzałem, ale teraz nie mogłem. Zrobiło mi się tak bardzo miękko i słabo, i jedyne, o czym byłem w stanie myśleć, to położyć się, potoczyć się w sennej, gęstej trawie, wtulić w ziemię, zasnąć i najlepiej już nigdy się nie zbudzić.

Kwiaty! Przypomniało mi się, że moja nowa gładka dłoń chciała kupić kwiaty, i choć myśl ta wydała mi się całkowicie niedorzeczna, jednocześnie nie mogłem jej się oprzeć i to już nawet nie ja, ale coś wewnątrz pociągnęło mnie w boczną uliczkę, na której stała mocno nadgryziona zębem czasu mała przykurzona kwiaciarnia, z kilkoma smutnymi plastikowymi wazonami i przemarzniętą, zawiniętą w szale, kaszlącą sprzedawczynią. Wybrałem kwiaty największe, o najintensywniejszym zapachu i schowany za ogromnym bukietem wyszedłem na ulicę, zaciągając się ich mdlącą, słodką wonią, aż kręciło mi się w głowie. Źle. Było mi tak bardzo źle. Powoli, ostrożnie, dreptałem dalej, ukryty za zastoną zapachu i zieleni, i z tego bezpiecznego miejsca przyglądałem się mijającym mnie niespokojnym spojrzeniom. Jak dobrze, że nikt nie mógł mnie rozpoznać. Tymczasem moje serce, nagle tak nieznośnie czułe i otwarte, rwało się do świata, do tego świata, który nieproszony odkrył przede mną cały swój bezkresny urok. Tylko po co? Po co mi to wszystko?

A może jednak wróćę do domu, pomyślałem, do rachunków, ale nie, nie, nie mogłem, chociaż było mi tak strasznie źle, bo teraz, schowany za kurtyną mdlących kwiatów, ujrzałem potworność i pożerającą ducha szorstkość mojej pracy, życia, a może raczej niezycia i wiedziałem, że już nie wróćę. Do świata! Serce rwało się do otwierających się przede mną bujnych, pięknych przestrzeni, a jednocześnie coraz większe przerażenie ścisnęło mi gardło.

Zapach bukietu mamit i otępił zmysły. Szedłem przed siebie, z coraz większym trudem ciągnąc chude nogi, aż doszedłem na skraj miasta a zarazem na skraj

siebie. Kiedy minąłem ostatnie zabudowania, rozlały się przede mną bezszelestne pola, lasy i czułem, jak zewsząd z tego krajobrazu przepastnego napiera na mnie bezlitosna czułość i łagodność, której nie mogłem znieść. Niebo i drzewa, zbyt miłe, zbyt ciche. Podejrzane mi się to wszystko zdało, wyczuwałem, jak pod cienką powłoką przestrzeni świat sprzymierza się przeciwko mnie, jak w głębi swoich trzewi, w gęstwinie korzeni, krecich dziur i mysich pisków knuje plan, misterny plan zniszczenia mojej osoby. Czułem, jak łagodność pozorna, złowroga, zbyt dobra, powolutku wlewa się w moje myśli i już nawet one są skażone, nie są moje, a ja nie jestem nimi i bezwolnie, na wpół świadomie położyłem się na polnej trawie, gęstej, sennej i wilgotnej. Było mi tak dobrze, jak nigdy wcześniej, a zarazem tak bardzo źle. Wtedy rączka zaczęła gładzić mnie po głowie, jak ostatni raz gładziła mnie moja matka, aż do oczu napłynęły łzy, wielkie łzy radości i rozpaczki jednocześnie. Po chwili poczułem dłoń na karku, na szyi, gładziła je czule, powolutku zaciskając się wokół gardła. Zrobiło mi się duszno, tak bardzo duszno i przyjemnie, że nie chciało mi się walczyć, zaciskaj się, pomyślałem, zobaczymy, co się stanie.

Z coraz większym trudem łapałem oddech i coraz ciężiej było zebrać myśli, które jedna za drugą odpływały w szarą, bladą dal. Przez ledwo uchylone oczy widziałem, jak niebo rośnie i pęcznieje nade mną, równie wielkie i smutne jak zawsze. Ostatnim tchnieniem świadomości pomyślałem jeszcze, że za dużo, zbyt zachłannie i zbyt często piłem tę niebieskość nieskończoną, bezduszną, bez której nie mógłbym żyć.

Zbudziły mnie ptaki krążące nade mną, zbudziło mnie ich wołanie, głośnie i wyraźne jak nigdy dotąd. Dzień dobry, ptaki, powiedziałem, a głos mój nie był już moim głosem, ale miękkim, delikatnym strumieniem dźwięku. Uniostem dłonie, ale i one nie były moje, obie gładkie i powabne, jak całe ciało. Spojrzałem z wielkim żalem na chmury, które wisiały nade mną, milczące jak zawsze. Jednocześnie tak blisko i tak daleko.



Pęknięcie

Otwieram oczy i zaczynam wpatrywać się w biały sufit, który przecina pęknięcie. Miałem je już dawno zeszkrobać, zaszpachlować, a potem zamalować, jednak cały czas nie mogę się zebrać, żeby zostać bohaterem w swoim domu. Ręce mam złożone jak trup w trumnie, zwykłem spać na wznak, choć w tej pozycji głośno chrapię, co wyprowadza z równowagi moją żonę Grażynkę. Leży obok, ubrana w ohydną niebieską pidżamę w różowe kwiatki. W sumie nie wyglądam lepiej, stara koszulka Iron Maiden i szare spodnie dresowe też nie są specjalnie seksowne. Boże, kiedy tak bardzo zdziadzieliśmy?! Podnoszę tułów, strzela mi w plecach, sięgam ręką do stolika po szklanę z wodą. Muszę szybko zażyć controloc control, żeby nie mieć zgagi po śniadaniu.

Wstaję, stawiam nogi na chodniczku z syntetycznego włosia leżącym obok łóżka. Jest ciepłutki, grzeje mnie w zziębłe stopy. Podchodzę do okna, odchylam zasłonę, znowu pizga, liście chyba biegną w jakimś maratonie, bo pędzą jak oszalone po ulicy. Zegar nad drzwiami naszej sypialni wybija dziewiątą, jest listopad, sobota, dobrze, że chociaż mamy Canal Plus, to obejrzę dziś ligę angielską. Przecież nie wyjdę na dwór spacerować w taki ziąb, mimo że przydałoby się spalić trochę kalorii. Nagle słyszę zza pleców głos obudzonej Grażynki:

– No co tak stoisz? Idź, śniadanie zrób, bo i tak cały dzień spędzisz, gapiąc się w telewizor, a ja mam ochotę na jajecznicę mocno wysmażoną. Tylko z boczkiem, tak?

W myślach odpowiadam: „sama se zrób”, ale nie odzywając się, człapię do kuchni, jak co tydzień, jak od kilku lat, i smażę. Ale mam plan, za tydzień zajmę się tym pęknięciem na suficie już na pewno.

Wchodzę do salonu połączonego z aneksem kuchennym. Otwieram lodówkę i wyciągam niezbędne składniki, które wymieszane na patelni usatysfakcjonują moją małżonkę. Coś za bardzo bucha zimnem z „szafy na żartó”, chyba będzie trzeba ją rozmrozić, bo pewnie zaczyna się psuć. Lepiej szybko wykonać ten proces, bo na nową nas nie stać. Ale to za tydzień, teraz nie mam do tego głowy, choć Grażynka już wspominała, abym się tym zajął. Wykładam na blat zieloną miskę, wbijam do niej jajka i zaczynam merdać węń widelcem, który ocierając się delikatnie o ścianki naczyń, wydaje nieprzyjemne popiskiwanie, przyprowadzające o ciarki na plecach. Irytuje mnie, że do tego doprowadziłem. Dobrze, że Grażynka jeszcze leży w łóżku, gdyby stała obok, pewnie wydartaby ryja, że nawet tak prostej rzeczy nie potrafię zrobić dobrze. Sypię sól, szczyptę pieprzu i jeszcze czosnek granulowany dla intensywniejszego smaku. Wszystko robię palcami, uprzednio zanurzając je w opakowania przypraw. Drobiniki ziółek skrzypią mi pod skórą i zlatują, jak łupież z głowy, wprost do zbettanych jajek.

Teraz pora na czary z boczkiem. Otwieram opakowanie. Dostaję szatę, bo folia w miejscu na odgięciu tak mocno przywiera, że muszę ją delikatnie i uważnie podważyć paznokciem, żeby potem jednym szybkim ruchem zerwać i uwolnić tłuste mięsko z okowów plastiku. Dobrze, że nie obcinałem pazurów, choć Grażynka już mi suszyła głowę o to kilka dni temu. Wiedziałem, że się przydadzą do czegoś, ma się tego nosa i wyczucie. Choć to zadanie dla ludzi cierpliwych, do których nie należę, to ostatecznie święcę tryumf. Podnoszę skrawek boczku i zanurzam go w szklance z wodą. Gdy odpowiednio nią nasiąknie, a następnie zostanie wrzucony na rozgrzany olej, zrobi się chrupiący jak chipsy. Mam w tym sporą wprawę, jajecznica z bekonem to mój sobotni rytuał.

Przeprawiam się przez kolejne etapy śniadaniowej ceremonii. Z szafki wyciągam patelnię, teflonową, idealną do smażenia. Przekręcam jedną z gatek kuchenki elektrycznej na maksa i czekam, aż naczynie się rozgrzeje.

Gdy temperatura osiąga odpowiedni poziom, wlewam łyżeczkę oleju, którą następnie rozsmarowuję specjalnym pędzelkiem. Do nozdrzy dociera zapach rze-paku, stąd wiem, że pora szybko wrzucić bekon. Kilka chwil i mogę wyciągnąć go na talerzyk, a w jego miejsce na patelnię włąć jajecznicę. Odwracam się, by sięgnąć po zieloną miskę, i dostrzegam pod nią drobną płamę z jajek. Kurwa, nie wierzę, moje śniadanie sączy się na blat przez delikatne pęknięcie. Czy w tym domu nic nie może być całe?! Na szczęście na powierzchnię uciekła je-dynie niewielka część mieszaniny, zatem pozostała, której nie udało się ewaku-ować, czym prędzej wlewam na skwierczący olej. Żeby nie zasmrodzić całego mieszkania, staram się włączyć okap, ale coś nie działa. Wściekły uderzam w niego otwartą dłonią, siłowe rozwiązanie okazuje się skuteczne, dźwięk wsysa-nego powietrza wypełnia przestrzeń. Niestety, z powodu problemu ze sprzętem delikatnie przypalam jajecznicę.

– Naprawdę aż tak ciężko mieszać jajka na patelni? Musiałeś je spalić? – Grażyna wyrosta nagle za mną i swoim skrzeczącym głosem wyraziła irytację.

– No bo okap się coś zjebał i się zagapiłem – próbuję się tłumaczyć, choć wiem, że to daremne.

Drewnianą łyżką mieszam potrawę, formującą się powoli w upragnio-ny kształt pulchnej jajecznicy. Kładę na stół w salonie dwa białe talerzyki i dokładnie rozdzielam danie. Oczywiście sobie wrzucam troszkę więcej, taki chłop jak ja wcina za trzech. 100 kilogramów przy 185 cm wzrostu nie wzięło się z diety wegetariańskiej. Poza tym śniadanie to najważniejszy posiłek dnia, muszę nabrać siły na wysłuchiwanie marudzenia Grażynki. Ta kura nigdy nie przestaje gdakać, byłaby idealną teleankieterką, bo nic tak nie wkurwia ludzi, jak telefony od obcych numerów, które okazują się kolejną prośbą o zadanie kilku krótkich pytań.

– Czuć spalenizną, ale ujdzie, dobrze chociaż, że boczek chrupiący – Grażynka jak zawsze szczerze ocenia mój kunszt kulinarny.

Nic nie mówię, niech się nażre, niech zapcha usta jedzeniem, niech cho-ciąż na chwilę knebel z jajecznicy się na coś nada. Patrę w talerz, staram się nie zerkać w kierunku starej. Nie wiem, co kiedyś w niej widziałem, chyba Amor zrobił sobie ze mnie żarcik i zamiast wypuścić strzałę z ostrym grotom,

ukłął mnie igłą. Chwilowe zauroczenie przerodziło się w za szybki ślub i ocknąłem się zbyt późno. Zupełnie jakbym zasnął w autobusie, który wykonuje swój ostatni kurs, a potem wymazują go z rozkładu jazdy i nie ma opcji, żeby wrócić tą samą drogą na omińnięty przystanek.

Dzień jednak musi trwać. Po śniadaniu zwykliśmy wypijać kawę uprzednio zaparzoną w kawiarence, bo ekspres kosztuje zbyt wiele, a wcale nie robi lepszego napoju pobudzającego. Sypię trzy czubate łyżeczki do niewielkiego metalowego pojemniczka z małymi dziurkami. Powstały kopczyk dokładnie przyklepuję, żeby stał się gładki jak świeżo wyłożony asfalt. Wlewam 300 mililitrów wody do specjalnego zbiornika, na który nasadzam element z kawą wewnątrz. Na koniec wkładam w tę drobną konstrukcję ostatnią część kawiarki, do której przedostanie się ostateczna wersja porannego wywaru. Gotową kawę przelewam do dwóch kubków kupionych w sklepie Andrzeja Mleczki w Krakowie. Rysunek na jednym z nich pokazuje mężczyznę i kobietę w trakcie kopulacji, partnerka niestety zasypia i facet, łapiąc się za głowę, mówi: „Psiakrew! Znowu zapomniałem o grze wstępnej!”. To oczywiście mój kubek, śmieję się w duchu przez łyż, że od kilku lat nie mam już nawet o czym zapominać. Kiedy to uprawialiśmy seks ostatni raz? Tak dawno, że nawet nie jestem pewny, czy w ogóle kiedykolwiek to robiliśmy. Wynurzam się z rozmyślań, zanoszę kawę Grażynce, ze swoją siadam wygodnie w fotelu, włączam telewizję.

– Aleś tę kawę mocną zrobił, zawału dostanę, durniu! – klasyczna odzywka starej, już wiem, że zaraz wyprowadzi mnie z równowagi.

– Boże, przecież to tylko kofeina, nie kokaina, nic ci nie będzie, dolałem mleka – postanawiam się bronić, bo ilość zarzutów w moim kierunku z rana nawet jak na Grażynę jest zbyt duża. Żona burczy coś pod nosem, staram się nie przysłuchiwać, bo co ja się będę denerwował.

Oglądamy TVN 24, wsłuchujemy się w historie o kolejnych aferach, tsunami znów uderzyło w Tahiti, jakiś gówniarz u nas na Pomorzu zjadł swojego kolegę z klasy. Tej młodzieży się w dupach przewraca, za dużo Internetu i wolności. Przydałoby się przykręcić śrubę, przywrócić przymusową służbę wojskową i obowiązkowo karę śmierci. Informacyjna wichura przewiewa mi przez głowę, po kilkunastu minutach nie pamiętam już, o czym rozprawiali państwo

eksperci w tv. Przetłaczam kanały, pędzę po nich jak pociąg pośpieszny. Nie potrafię zatrzymać się na żadnym programie dłużej niż 5 sekund, samo szambo, nic ciekawego. Po kiego wata człowiekowi taka szeroka oferta telewizyjna, jak nic znaleźć nie można oprócz reklam na utwardzanie członka i żelu na hemoroidy?! Z mojej prawej strony dobiega głos Grażyny:

– Musisz skakać po tych kanałach? No zostaw coś na chwilę, ty masz jakąś nerwicę, czy co?

Rzucam pilota na stół i wstaję, mówiąc:

– Idę się myć.

Wchodzę do łazienki, zamykam się, przekręcając zasuwkę w drzwiach. Cisza i spokój, chwila wytchnienia, łazienka jest moją świątynią, od kafla bije kojący chłód. Siadam na pokrywie deski toaletowej i zaczynam głęboko oddychać, staram się wciągać powietrze nosem i wypuszczać ustami. Co ja najlepszego zrobiłem, po co nadal trwamy w tym związku? To chyba przyzwyczajenie, bo jakiegokolwiek uczucie wyparowało już dawno, wyszło z nas po angielsku, bez słowa pożegnania. W grudniu skończę 50 lat, Grażynka jest rok młodsza. Jesteśmy parą od dwudziestu siedmiu lat, mamy syna dwudziestopięcioletniego, który jakiś czas temu wyjechał na stałe do Warszawy. Pracuje w korporacji, prowadzi lekkie życie, przedstawiał nam już chyba z cztery dziewczyny. Dobrze, niech się nie żeni, monogamia to kompletnie nienaturalny stan, nie chcę, aby wyrósł na frustrata, jak jego ojciec. Z rozważań wyrывa mnie skrzek żony:

– Tylko okno otwórz potem, żeby nie śmierdziało!

Kurwa, przecież nie sram. Medytuję, kobieto, myślę, rozważam swoje życie, daj mi choć na sekundę odpocząć, wyłączyć się z istnienia. Modlący nie powinno się przeszkadzać w kościele! Niewychowane babsko, zawsze była z kulturą na nie. Podchodzę do kabiny prysznicowej, otwieram drzwiczki, które delikatnie się giba. Grażynka prosiła, żebym je naprawił, ale jakoś nie mogłem znaleźć czasu, zrobię to w następny weekend. Wystarczy dwie śrubki przykręcić i voilà! Odkręcam ciepłą wodę, staję pod strumieniem, który dokładnie oblewa moje ciało Buddy. Przyglądam się uważnie swojemu korpusowi, zaczynam wyglądać jak ludzik Michelin. Niedobrze, żyły pewnie też mam zapchane, podejrzewam, że płynie w nich syrop zamiast krwi. Mydląc korpus, zaczynam

rozważać możliwość dostania zawału. Cholera, nie chcę jeszcze umierać, mam plany, przecież muszę zaszpachlować pęknięcie na ścianie. Choć z drugiej strony – tykam silimarol, ziołowe tabletki na wątrobę, powinny zbijać trójglicerydy. Mimo wszystko trzeba się zabrać za sport, zacznę już niedługo.

Wycieram się szorstkim ręcznikiem, który mamy już chyba z 15 lat, takie są najlepsze, przynajmniej człowiek czuje, że jest suchy. Myję zęby szczoteczką z delikatnym włosiem, aby nie podrażnić moich chętnych do krwawienia dziąseł. Tylko czekają, aby zacząć sikać na czerwono. Psikam się antyperspirantem i wychodzę, może piękny zapach zmiękczy Grażynkę i da mi dziś choć chwilę wytchnienia, kilkanaście minut bez paplania. Niestety, nadzieja jest matką głupich. Gdy tylko wydostaję się z czeluści toaletowych, dopada mnie żona i każe jechać po zakupy.

– Skończył się pieprz, potrzebuję włoszczyzny na rosół i dokupiłbyś jakąś szynkę do chleba, bo mamy braki.

Nawet nie pyta, oznajmia, wydaje rozkaz, jest pieprzonym sierżantem, a ja przerażonym kadetem, który bez wahania wykonuje polecenia, żeby uniknąć fali. Zapisuję instrukcje na kartce, bo inaczej w połowie drogi do sklepu będę do niej dzwonił z pytaniem, co miałem kupić. A ostatnią rzeczą, której mam ochotę wysłuchiwać, to litania na temat moich umiejętności archiwizowania informacji.

Wychodzę przed dom, kieruję się na piechotę do biedronki, jakieś 2 kilometry od naszego bloku mieszkalnego. Wziąłem ze sobą mały plecak, aby uniknąć dźwigania plastikowej siatki, która będzie drażniąco wbijać się w moją rękę i zostawi czerwony odcisk. Na dworze wieje zimny wiatr, bije mnie po twarzy swoimi lodowatymi otwartymi dłońmi. Takie plaskacze potrafią wybudzić człowieka i przywrócić kolory na facjacie. Zapinam kurtkę wyżej pod szyję, kołnierzyk wbija się, utrudniając oddychanie, ale przynajmniej robi się cieplej. Docieram do biedronki, sięgam po koszyk i mijam kolejne alejki w poszukiwaniu skarbów, które potem pożremy razem z Grażynką. Wybierając włoszczyznę, dostrzegam kątem oka młodą dziewczynę, ma może maksymalnie dwadzieścia pięć lat. Ogląda pomidory, sprawdza ich twardość delikatnie ściskając je w dłoniach. Kiedy ją obserwuję, nagle budzi się z wieloletniej śpiączki moje libido.

Chyba jakiś impuls elektryczny przeszedł moje ciało, bo dawno nie czułem tak silnej chuci. Pupa młodej kobiety jest opięta przez czarne legginsy, musi mieć na sobie stringi, bo nie widzę zarysu majtek. Mam ochotę ścisnąć jej zadek, tak jak ona ścisła pomidora. Włożyłbym nos między jej długie czarne włosy, aby nasycić się zapachem szamponu oraz odżywki. Boże, przecież ja mam żonę, co za bzdury sobie wyobrażam! Żonę... taaaa, która już dawno straciła dawny blask i przemieniła się w walenia. Odwracam wzrok, bo za kark mocno łapie mnie wstyd. Stary dziad, a ogląda się za młodymi dupami. Z tym brzuchem, nalany okrągłym ryjem i łysiną mógłby co najwyżej poderwać panią Halinkę z warzywniaka. Szybko znajduję pozycje z listy zakupowej, zmykam do kasy, płacę kartą i pędzę do domu, odganiając krępujące myśli.

Wróciwszy, wypakowuję z plecaka jego zawartość i wkładam do lodówki. Przeciągam się, znowu strzela mi w plecach i podchodzę do fotela, stojącego naprzeciwko telewizora. Zbliża się 13.30, zaraz pierwszy mecz Premier League, dziś szlagier, Manchester City gra z Chelsea Londyn, liczę na solidną dawkę emocji. Wtedy objawia się mym oczom Grażynka, tak nagle, niczym zjawa, aż się wzdrygnąłem. Niesie wieści, które powodują, że narasta we mnie poczucie agresji.

– Jak byłeś na zakupach, zadzwoniłam do jakiegoś studenta, który ogłosił się w Internecie i mieszka nieopodal, żeby przyszedł naprawić nam pęknięcie w suficie. Ty i tak tego nigdy nie zrobisz, a on może przyjść nawet za godzinę, weźmie pięć dyszek. Cekol i farbę mamy w piwnicy, przecież stoją tam już pół roku i czekają na zbawienie – wypowiedziała te słowa z prędkością kolibra.

– Grażyna, kurwa mać, przecież mówiłem, że to zrobię, dziś chciałem spokojnie mecz obejrzeć, za tydzień ogarnę i będzie po sprawie. Poza tym kto, ot tak, potrafi znaleźć czas i przyjść w chwilę, aby cokolwiek naprawić?! Pewnie sprowadzisz jakiegoś wariata, który jeszcze nas zje, jak ten gnój z telewizji! Nie dam ani grosza! – zacząłem drzeć mordę, bo szat, który mnie opętał, wszedł właśnie na najwyższe obroty. Grażynka jednak nie dała za wygraną:

– TY MASZ CO TYDZIEŃ JAKIŚ WAŻNY MECZ! A sufit niedługo nam na łby spadnie. Chłopak przynajmniej sobie zarobi, ja zapłacę ze swoich, ty liczykru-po. Masz paranoję, wszędzie widzisz zagrożenie, już dawno mówiłam, że tobie nawet psychiatra nie pomoże, wariat jesteś.

– Przegiętaś, mam to dupie, jak chcesz, to go spraszaj. Jak mam być normalny, skoro mam dyktatora za żonę?! Jadę do brata, może na grzyby pójdziemy, bo nie mam ochoty przebywać w tym domu ani sekundy dłużej. A ty se nawet dziesięciu studentów zamów.

– A jedź i nie wracaj nawet, nikt płakać nie będzie po tobie.

Chwytam kurtkę, kluczyki do samochodu i trzaskam drzwiami. Staram się uderzyć nimi bardzo mocno, żeby miała świadomość, jak bardzo mnie wkurzyła. Mój brat mieszka dwie godziny drogi autem od nas. Na jego szczęście jest kawalerem, który wszak zbyt często nasącza wątrobę etanolem, ale wolę posiedzieć z tym drobnym pijaczną niż z nowym wcieleniem Józefa Stalina. Jakby mogła, to zakutaby mnie w kajdany, ubrała w pasiak i kazała rąbać drewno na Syberii. Wsiadam do opla, odpalam maszynę, włączam radio. Ustawiam głośność na maksa, w środku mam akurat płytę AC/DC, więc muzyka idealna na wkurwienie i szybką jazdę. Mijam samochody, latarnie, pieszych. Zastanawiam się, co by było, gdybym zjechał na chwilę na chodnik i zaczął tratować przechodniów. Może rzeczywiście Grażynka ma rację i jestem wariatem? Bujająca się na lusterku choinka Wunderbauma zaczyna mnie drażnić, więc zrywam ją jednym pociągnięciem i rzucam na tylne siedzenie. Żona prosiła mnie, żebym ją wypieprzył już dawno, ale zawsze upierałem się, że jej zapach koi moje zmysły i pomaga w kierowaniu samochodem. Gównu prawda, mówiłem tak, żeby jej zrobić na złość.

Po godzinie jazdy agresja zaczyna mi mijać, wycofuję się z pola walki, oddaję potacie ziemskie uspokojeniu. Zatrzymuję się na poboczu, otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz. Zapalam papierosa, zaciągam się zachłannie dymem i karmię ptuca życiokradnącym tytoniem. „Po co ta szajba, wracam do domu, przynajmniej nie upieprzę się farbą” – wypowiadam w głowie słowa, które są ostatecznym pogodzeniem się z sytuacją. Wracam tempem znacznie wolniejszym, nie muszę się spieszyć. Pewnie przez najbliższe trzy dni nie będziemy z Grażynką rozmawiać. Choć w sumie to żadna nowość, normalnie też nie gadamy, jak już, to drzemy ryje. Dawno powinniśmy wziąć rozwód, ale, cholera, ona naprawdę dobrze gotuje, a ja uwielbiam jeść. Dojeżdżam pod blok, parkuję, biorę kilka głębokich wdechów.

Wchodząc schodami do góry, wyobrażam sobie skwaszoną minę Grażyny i tę gęstą ciszę, którą można by ciąć nożem, następnie podać na tacy, jak tort, kilkunastu gościom, a i tak nadal będzie jej pełno. Bezdźwięcznie otwieram drzwi z nadzieją, że żona urządza sobie popołudniową drzemkę, bo zwykła tak robić, a ja na spokojnie odpalę kolejny meczyk. Stąkam po podłodze jak komandos próbujący z zaskoczenia ująć groźnego terrorystę. Nagle zauważam buty, których nigdy w życiu nie widziałem na oczy. Są mniejsze od moich, ale na pewno męskie. Dopiero teraz dochodzi moich uszu głośne oddychanie dobiegające... z naszej sypialni! Drzwi do niej są lekko uchylone, więc zaglądam do środka najwolniej jak potrafię. Nagle czuję, że nogi wrastają mi w kafle, zmieniam się w posąg, chyba ktoś rzucił na mnie zaklęcie, bo nie mogę się ruszyć ani o krok. Na naszym łóżku dostrzegam dwie postaci, jedna z nich to moja żona, klęcząca z wypiętym tyłkiem. Za nią stoi młody, nawet przystojny brunet i posuwistym ruchem wchodzi w Grażynkę. To chyba najgorszy widok, jaki w życiu dane było mi oglądać. Są odwróceny, więc mnie nie widzą, co dodaje sytuacji komizmu. Jako prawdziwy mężczyzna powinienem teraz złapać studenciaka, wyrwać mu kręgosłup gołymi rękoma, a z zębów zrobić naszyjnik, który nosiłbym, aby pokazać innym, co się robi z gośćmi pieprzącymi nieswoje żony. Zamiast tego czuję, jak gdzieś z trzewi nadchodzi fala śmiechu, przemieszana z litością. Boże, dlaczego taki młody chłopak, który mógłby znaleźć sobie fajną laskę, potakomił się na starego wieloryba? Może jest z zawodu harpunnikiem albo wielkim fanem „Moby Dicka”? Głupie żarty przychodzą mi do głowy. Aby nie nakryć zakochanych, wycofuję się cichcem i wychodzę z domu. Stojąc przy samochodzie, wybucham śmiechem, nie jestem w stanie wytrzymać. Boję się, że zabraknie mi oddechu, muszę łąpać się rękoma za brzuch. Mój napad głupawki jest tak potężny, że wyglądam, jakbym był w agonii. Ktoś nagle kładzie mi rękę na ramieniu i pyta:

– Proszę pana, wszystko w porządku?

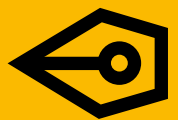
Spoglądam w górę i dostrzegam dziewczynę, która tak bardzo spodobała mi się w biedronce.

– Tak, wszystko gra, dostałem po prostu głupawki, długa i nudna historia.

– To dobrze, bo się przestraszyłam. A nie widział pan może w pobliżu

mojego chłopaka, dość wysoki, brunet? Bo poszedł dziś na drobną fuzkę do jakiejś starszej babki i nie wraca już od paru kwadransów.

Słowa dziewczyny przelewają czarę śmiechu jeszcze bardziej. Wpadam wręcz w ryk, opętańcze jęki hihów i hahów, niemal jak Joker. Dziewczyna zde gustowana patrzy na mnie jak na wariata i odchodzi. Przecież powinno pęknąć mi serce, a pękam ze śmiechu.



Jak za pierwszym razem

Jej twarz była jak odcisnięty w głowie powidok. Często w drodze do pracy wpatrywał się w blask na tle gnijącego krajobrazu, jesienne słońce. Odwracał wzrok o kilka sekund za późno, obraz zostawał w oczach. Idealny okrąg odbitego koloru padał wszędzie, gdzie sięgnął wzrok.

Nie mógł więc oderwać spojrzenia od kilkuletniego chłopca, kręcącego się w fryzjerskim fotelu. Na oko nie różnił się od innych dzieci, które strzygł. Miał stanowczo za długie włosy, opadające na ramiona. Chyba nie chciał ich obcinać, ale „tata się uparł”. Fryzjer nie rejestrował słów. Patrzył. W tej dziecięcej buzi odbijała się inna, starsza. Twarz znajoma, która nie tak dawno nachodziła go w snach, zapłakana, nadąsana, straszna. Czasem radosna, bo kiedyś i taka bywała. Zniknęła z jego życia, i dobrze. Ale nie na dobre. Jaśniała teraz przed nim jak jutrzeńka, a on bał się jak nigdy. Czekał, aż opuści ciało chłopca i stanie obok. Spojrzał na zegarek, dochodziła dwunasta. Godzina duchów.

Nie chodziło o podobieństwo. Wiele klientek przypominało mu Ewę, wyglądem i zachowaniem. Wystającą w uśmiechu jedyneką i nerwowym bębnieniem długich palców o kolano. Po strzyżeniu takiej szedł na zewnątrz i wypalał trzy papierosy. Teraz nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Nigdy wcześniej tak się nie czuł. Musiał długo stać bezczynnie, bo mężczyzna, którego chłopiec nazwał tatą, podniósł się z kanapy i spytał:

– Trzeba z góry zapłacić, żeby było szybciej?

Bez słowa wziął się do pracy.

Dzieciak siedział cicho, nakryty peleryną po samą szyję. Fryzjer wytart mokre włosy ręcznikiem szybko i niedokładnie, teraz próbował rozczesać splecione kosmyki. Grzebień ślizgał się w mokrych od wody i potu dłoniach. Zaklął. Chłopiec nie usłyszał, zbyt zajęty swoim własnym odbiciem. Zafascynowany przeglądał się w wiszącym lustrze. Dotykał oczu i ust, zostawiając tłuste ślady opuszków. W końcu znudził się sobą i znalazł nowy obiekt obserwacji. Fryzjer zorientował się, że dzieciak śledzi jego ruchy. Grzebień wyślizgnął mu się z ręki.

Wiedział, że Ewa wzięła ślub, nawet widział zdjęcia. Wciąż mieli wspólnych znajomych, z którymi się widywał. Gdy raz rzucił kąśliwą uwagę, że dobrze jej się wiedzie, bo przytyła, odpowiedziała mu cisza i zakłopotane miny. Szybko zmieniono temat, mimo to drażzył dalej. Dopiero po kilku kolejkach przestał.

– Pośpiesz się, zaraz przychodzi nowy klient. Dobrze się czujesz? – usłyszał troskliwy głos recepcjonistki, który go ocucił.

– Świetnie – rzucił radośnie, czując na sobie podwójne spojrzenie. – Robisz coś po pracy? – spytał z bezczelnym uśmiechem. Dziewczyna podniosła brwi, pokręciła głową i odeszła speszona. Zadowolony odwrócił się do lustra. Niebieskie oczy Ewy patrzyły wprost na niego.

– Siedź prosto – zająknął się. Wyciągnął nożyczki.

Nie list ani pozew rozwodowy, ale pusty dom przytłaczał go najbardziej. Czuł, jak cisza gromadzi się w powietrzu, wnika w puste przestrzenie na półkach. Zabrała dużo rzeczy, nie tylko te najpotrzebniejsze. Dobrze to zaplanowała. Mieszkanie było jej, ale nie zamierzała tu wracać. Nic nie rozumiał. Trzymał kartkę w drżących dłoniach. Czytał raz po raz, jakby mógł się tam pojawić jakiś nowy akapit. Cokolwiek, co wyjaśni, dlaczego Ewa tak go nienawidzi. Potem dzwonił, do skutku. Zostawił tyle wiadomości, że zapchała się skrzynka.

Ścięte włosy pokrywały podłogę i buty fryzjera. Gęsta czupryna na wpół suchych włosów zaczynała nabierać kształtów. Zdawało mu się, że ręce pracują same, bez jego udziału. Chwytał pasma, które przed chwilą skrócił, i obcinał je jeszcze bardziej. Kolejny klient czekał na kanapie, obok ojca dziecka. Zastanawiał się, czy zdradzała go z tym dupkiem, czy wcześniej był ktoś inny.

Zawsze podejrzewał, ale świetnie tuszowała ślady. Na rozprawę przyszła sama. Nie zaszczyciła go ani spojrzeniem. Wbiła wzrok przed siebie jak postuszne dziecko w kościele na pierwszej komunii.

Popatrz na mnie, krzyczał za nią, wychodząc z sądowego gmachu. Ludzie obracali się za nim, oburzeni, a ona wsiadła do samochodu i odjechała. Patrz, mówię, wydzierał się na Ewę w lustrze salonu fryzjerskiego. Patrzył, jak jego odbicie łapie rękę chłopca i wykręca. Nie łamie jej, chce tylko, żeby bolało. Dziecko płacze, zdezorientowane, przerażone, tak jak Ewa, gdy uderzył ją po raz pierwszy.

Recepcjonistka krzyczy, ktoś odciąga go do tyłu, ojciec dziecka daje mu w twarz. Zanim zostanie pobity do nieprzytomności, zdąży powiedzieć:

– Widzisz, co narobiłaś?

O WARSZTATACH

Książka, jest efektem pracy trzynastu osób, które wzięły udział w blisko półrocznych warsztatach organizowanych przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Gdańsku im. Josepha Conrada Korzeniowskiego pod wdzięczną nazwą „Piszmy”.

Warsztaty literackie „Piszmy” skierowane były do początkujących autorów, którzy nie mają na swoim koncie samodzielnej książki.

Zajęcia, które oferowaliśmy, miały rozwinąć praktyczne umiejętności związane z pisarskim rzemiosłem. Omówić wszystkie etapy tworzenia dzieła literackiego, od zbierania materiałów i planowania, poprzez budowanie scen i fabuły, po konstruowanie wiarygodnych bohaterów oraz wypracowywanie własnego stylu.

Głównym prowadzącym warsztaty oraz opiekunem literackim grupy uczestników był Daniel Odija, autor książek, scenariuszy do filmów, słuchowisk i komiksów, który od wielu lat prowadzi warsztaty pisarskie w całej Polsce. Ponadto w warsztatach wzięli udział: redaktor wydawniczy Przemysław Kaniecki, który pomógł początkującym twórcom nadać dziełom pożądaną formę, oraz wydawca – Michał Alenowicz, właściciel oficyny „Wiatr od Morza”, który zapoznał autorów z realiami rynku książki.

„Piszmy” to również idea przyświecająca twórcom warsztatu, by propagować pisanie jako formę komunikowania się i ekspresji własnych myśli i uczuć.

